



SEKRETNE ŻYCIE KRÓW

Rosamund Young



SEKRETNE ŻYCIE KRÓW

Rosamund Young

Przełożył Piotr Kaliński

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

Tytuł oryginału:
THE SECRET LIFE OF COWS

Redakcja językowa: Krystian Gaik
Projekt okładki: Magdalena Kuc
Illustration copyright © Anna Koska (ilustracje w książce)
Ilustracje na okładce: © Anna Koska (drzewo i krowy)
© Kamieshkova / Shutterstock (ptaki)
Korekta: Maciej Korbasiński
Redaktor prowadzący: Małgorzata Głodowska

Text by © Rosamund Young, 2003, 2017
Published by arrangement with Faber & Faber Limited
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-815-3

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Niektóre z moich najwcześniejszych wspomnień dotyczą anegdot, które moi rodzice opowiadali o krowach, świniach, kurach albo dzikich ptakach. Mam nadzieję, że niniejszą książką przyczynię się do podtrzymania tradycji ich ustnego przekazu.

Rosamund Young, farma Kite's Nest

Od autorki: Snując niniejszą opowieść, zdałam sobie sprawę, że książki na ogół dzielą się na rozdziały. Tymczasem większość moich anegdot splata się ze sobą i tworzy jedną długą narrację, w której osobne rozdziały byłyby niepotrzebne i uciążliwe. Zdecydowałam się więc na nagłówki między poszczególnymi częściami tekstu. Pomogą one czytelnikowi zorientować się w jego strukturze. Jest to poprawione wydanie, więc miałam sposobność uaktualnienia niektórych fragmentów.

R. Y.

Natura uczy zwierzęta poznawać przyjaciół ¹.

William Szekspir, *Koriolan*, akt II, scena 1

*Ludzie oglądają w zadziwieniu programy telewizyjne o życiu społecznym
słoni, ich więzach rodzinnych, uczuciach, gotowości do pomocy i upodobaniu
do zabawy, nie zdając sobie przy tym sprawy, że nasze własne zwierzęta
hodowlane prowadzą podobny żywot, jeśli tylko im to umożliwić.*

Joanne Bower, The Farm and Food Society

Przedmowa

Kiedy zetknąłem się po raz pierwszy z *Sekretnym życiem krów*, uznałem, że tytuł jest jakimś żartem. Tymczasem odpowiada dokładnie treści książki. To naprawdę wspaniała lektura, choć miejscami potrafi wpędzić człowieka w przygnębienie, bo pokazuje, że krowy (a nawet owce i kury) mają dużo głębszą świadomość i wiedzę, niż byliśmy im skłonni przypisywać, a to z kolei wymusza na nas rewizję naszego światopoglądu.

Gdyby tę książkę napisał zwykły zapaleniec, można by ją zbagatelizować jako wytwór sfanatyzowanego umysłu, ale Rosamund Young prowadziła swoją organiczną farmę Kite's Nest w Worcestershire na długo przed nastaniem mody na organiczną żywność. Zatrudnieni przez nią pracownicy potrafią po smaku mleka poznać, od której krowy pochodzi. Ona sama opowiada się przeciwko przemysłowej hodowli w prosty i przekonujący sposób, a do tego opiera swoje argumenty wyłącznie na zdrowym rozsądku.

Ciekawostką niniejszej książki jest fakt, że autorka w detalach opisuje zachowanie krów, ich różnorodne charaktery i przekonania, a jednak ani słowem nie wspomina o ich zwyczajach rozrodczych. Nie dowiemy się zatem, czy indywidualne różnice, które tak wyraźnie zaznaczają się we wszystkich innych obszarach ich życia, tutaj też dają o sobie znać. Czy niektóre krowy są bardziej nieśmiałe od innych lub bardziej skłonne do flirtu? Być może powściągliwość autorki w tej kwestii jest wyrazem

szacunku wynikającego z przekonania, że krowy mają takie samo prawo do prywatności, co ich hodowcy.

Tak czy owak, niniejsza książka zmienia sposób, w jaki patrzymy na świat, „głupie” bydło okazuje się bowiem nie takie głupie, jak myśleliśmy. Ilekroć dzisiaj mijam łąkę, na której pasą się krowy, mimowolnie zaczynam myśleć o więzach przyjaźni, które je łączą, i ich wizji świata, czyli o rzeczach, które przed przeczytaniem książki Rosamund Young uznawałem za niemądre, wręcz durne wymysły. Dziś już tak nie myślę.

Alan Bennett

Wprowadzenie

Obserwacja krów i cieląt podczas zabawy i wzajemnych zabiegów pielęgnacyjnych nabiera zupełnie nowego wymiaru, kiedy wiemy, że zwierzęta, na które patrzymy, są braćmi i siostrami, kuzynami albo zaprzysięgłymi wrogami. Kiedy znamy zwierzęta jako odrębne jednostki, zauważamy, jak często starsi bracia okazują czułość młodszym, jak siostry szukają albo unikają swojego towarzystwa, które rodziny zawsze idą spać razem, a które osobno.

Krowy są tak samo różnorodne jak ludzie. Bywają niezwykle inteligentne albo niezbyt rozgarnięte, sympatyczne, uważne, agresywne, potulne, pomysłowe, nudne, dumne albo wstydlive. W wystarczająco licznym stadzie możemy zaobserwować wszystkie te cechy. W naszym gospodarstwie od lat konsekwentnie traktujemy zwierzęta jak osoby.

Moi rodzice zaczęli samodzielną hodowlę bydła w 1953 roku. Mój brat Richard był prawie trzylatkiem, ja miałam dwanaście dni. Na początku ich dobytek składał się z pięciu krów i starego traktora. Nie mieli prądu ani telefonu.

Stopniowo zbudowali stado pełnokrwistych krów rasy Ayrshire, ale hodowali też świnię rasy Wessex Saddleback. W okolicy żyły ogromne ilości królików, które uniemożliwiały uprawę roślin.

W tamtych czasach warunkiem otrzymania wsparcia finansowego była

intensyfikacja produkcji. Rząd całkiem otwarcie wywierał na rolnikach presję, by ci stosowali wszelkie najnowsze technologie. Jednak instynkt podpowiadał moim rodzicom wybór hodowli organicznej, aczkolwiek wtedy nie znali jeszcze tego słowa. Proces odwracania się od oficjalnej polityki rolnej zachodził w nich stopniowo. Od początku obojgiem kierowało niezachwiane pragnienie, by hodowane przez nich zwierzęta żyły godnie i w komfortowych – w miarę możliwości – warunkach.

Niektóre z moich najwcześniejszych wspomnień dotyczą anegdot, które moi rodzice opowiadali o krowach, świniami, kurach albo dzikich ptakach. Mam nadzieję, że niniejszą książką przyczynię się do podtrzymania tradycji ich ustnego przekazu.

Każda krowa jest odrębną, wyjątkową jednostką. To samo dotyczy owiec, świń i kur. Powiedziałabym wręcz, że można to powiedzieć o wszystkich żywych istotach, nawet tych, których nikt nie widzi, nie bada i nie docenia. Mało kto zaprzeczyłby, że swój własny charakter ma każdy kot, pies czy koń. Ilekroć zdarzało nam opiekować się którymś z naszych zwierząt hodowlanych jak zwierzęciem domowym – ze względu na chorobę, wypadek czy żałobę – stykaliśmy się z przejawami niezwyklej inteligencji, zdolności do okazywania uczuć i umiejętności dostosowania się do nietypowych warunków. Być może wszystko zależy od ilości czasu, jaki ze sobą spędzamy. Z ludźmi przecież jest tak samo.

Każdy właściciel nawet tylko kilku zwierząt z pewnością rozpoznaje w nich wyjątkowe jednostki i prawdopodobnie potrafi z głębokim zrozumieniem opisywać ich indywidualne cechy i upodobania. Zwierzęta hodowlane trzymane są zazwyczaj w dużych grupach; nie oznacza to bynajmniej, że z tego powodu zacierają się różnice między nimi. Chociażby pod względem inteligencji różniły się między sobą w nie mniejszym stopniu niż my.

Żaden nauczyciel nie życzyłby sobie pracy z klasą pełną identycznych uczniów. Nikt nie chciałby żyć w społeczeństwie, w którym wszyscy są jednakowo ubrani i mają te same zainteresowania. Fakt, że nie jesteśmy w stanie dostrzec różnic między poszczególnymi, indywidualnymi pajakami albo motylami, trznadlami czy krowami, nie jest dostatecznym powodem, by zakładać, że te nie istnieją.

Jeśli muszą żyć w zatłoczonych, bezdusznych, specjalnie wydzielonych i nudnych miejscach, zarówno ludzie, jak i zwierzęta mogą sprawiać wrażenie wyzbytych odrębnej tożsamości, ale gdy tak się dzieje, bynajmniej nie dowodzi to tego, że jednostki faktycznie są identyczne, ani też tego, że takie traktowanie im odpowiada.

Wielu z nas ma tendencję do stosowania ludzkich standardów do mierzenia inteligencji zwierząt. Ale dlaczego kryteria używane wobec ludzi miałyby mieć przełożenie na inne gatunki? Słuszniej byłoby założyć, że każde zwierzę ma niczym nieograniczoną zdolność doświadczania pełnego zakresu emocji, postrzeganą wyłącznie przez pryzmat jego własnych uwarunkowań. Jeśli inteligencja krowy pozwala jej na osiągnięcie pełnego sukcesu właśnie jako krowa, to czego jeszcze jej życzyć?

Kiedy młode cielę, które próbuje zjeść trochę siana, ale jest stale odpychane przez większe i silniejsze osobniki, z czasem nauczy się, że jeśli tylko schowa się pod głowę swojej mamy, będzie mogło jeść w spokoju, to według mnie wykaże się praktyczną, użyteczną inteligencją. Niby co takiego osiągniemy, ucząc to samo cielę, by przez naciśnięcie odpowiedniego guzika nosem samodzielnie otwierało bramę do zagrody? Nic.

W trakcie moich wieloletnich obserwacji bydła byłam świadkiem niesamowitych przykładów logicznej, praktycznej inteligencji, ale widziałam też przejawy najzwyczajszej głupoty. To samo mogłabym powiedzieć o swoich doświadczeniach z ludźmi. Bydłęta hodowlane zainteresowane są

codziennym życiem, rozwiązywaniem bądź nierozwiązywaniem bieżących problemów. Ważne jest to, że powinniśmy zapewnić im warunki, w których będą w stanie wykorzystać swój zwierzęcy potencjał, a nie wieść nienaturalny dla nich żywot naszych sług.

Przeczytałam kiedyś w czasopiśmie „Star and Furrow”², że ograniczanie krowom przestrzeni do swobodnego poruszania się spowoduje kilka pokoleń później nawet trzydziestoprocentowy spadek wielkości mózgu, i teza ta znajduje potwierdzenie w moich własnych obserwacjach. W latach siedemdziesiątych moi rodzice zauważyli, że czoła ich krów w kolejnych pokoleniach stają się coraz szersze, a same krowy zachowują się w inteligentniejszy sposób. Jakies dziesięć, piętnaście lat później całkiem przypadkowo odwiedził nas pewien naukowiec pracujący w jednym z największych ogrodów zoologicznych w kraju. Przez dwadzieścia lat przed pierwszym odnotowanym przypadkiem BSE³ zajmował się wyłącznie badaniem i szczegółowymi pomiarami czaszek martwych zwierząt. Jego prace z tego okresu stanowią zapis nieubłaganego procesu kurczenia się krowich mózgow; jego zdaniem wyłączną winę za to ponosi fatalna i prawdopodobnie naszpikowana prionami karma. Według mnie w równym, o ile nie większym stopniu za ten stan rzeczy odpowiedzialne jest trzymanie zwierząt w ciasnych boksach.

Dieta i swoboda ruchu mają też wpływ na jakość mięsa. W mięsie zwierząt karmionych w sposób naturalny, w przeciwieństwie do mięsa zwierząt pochodzących z intensywnej hodowli przemysłowej, znajdziemy więcej tłuszczów wielonienasyconych typu omega-3, niższy jest też stosunek tłuszczu do białka.

Mało kto spodziewałby się, że dziecko trzymane w ciasnym, nieprzyjemnym pomieszczeniu, z dala od rodziców i rodzeństwa, do tego z ograniczoną możliwością ruchu i niezmienną dietą, będzie się rozwijało

prawidłowo. Tymczasem wielu rolników i wspierających ich agencji rządowych oczekuje od zwierząt hodowlanych, że będą się normalnie rozwijać właśnie w takich warunkach.

W ciągu wielu lat obserwacji przekonaliśmy się, że jeśli tylko da się krowom wybór między kilkoma rozwiązaniami – na przykład między pozostaniem na dworze a wejściem pod dach, chodzeniem po trawie, sianie albo betonie, lub między różnymi rodzajami pokarmu – zawsze wybiorą to, co jest dla nich najkorzystniejsze, i wcale nie wszystkie podejmą taką samą decyzję.

Kura uwielbia biegać i badać wszystko, co się rusza, rozkładać skrzydła na słońcu, muskać piórka i kąpać się w kurzu. Nie wolno jej zamykać w ciasnej klatce czy w zatłoczonym kurniku. Niewiele wart jest argument, jakoby niektóre kury z wolnego wybiegu unikały wychodzenia na zewnątrz, nawet gdy zostawia się dla nich otwarte okienka, często jest bowiem tak, że na terenie dookoła kurnika nie rośnie dostatecznie dużo trawy, by zachęcić ptaki do wyjścia. Poza tym w dużych stadach kury z najniższego szczebla hierarchii bywają zastraszane przez silniejsze ptaki i zwyczajnie boją się opuścić kurnik.

Okaleczanie zwierząt hodowlanych ma swoje korzenie w propagandzie, odwiecznych zwyczajach i bezmyślnym stosowaniu się do tradycji, bo nie da się go uzasadnić żadnymi racjonalnymi przesłankami. Rutynowe przycinanie ogonów i zębów prosiętom, odcinanie dziobów kurom czy skracanie ogonów owcom jest absolutnie niedopuszczalne.

Jeśli świnię nawzajem się gryzą, a kury zadziobują, to dlatego, że są nieszczęśliwe. Jagnięta mają brudne ogony – sama nieraz doświadczałam koszmaru, jakim jest opieka nad zarobaczonymi owcami – należy jednak usunąć przyczynę problemu, przycięcie ogona nie jest żadnym jego rozwiązaniem.

Tworzenie zwierzętom warunków, w których mogą być szczęśliwe i dawać upust swoim naturalnym instynktom, jest nie tylko słuszne ze względów etycznych, ale i racjonalne z pobudek finansowych. Szczęśliwe zwierzęta rozwijają się szybciej.

Dzieci żyjące w stresie śpią i jedzą mniej niż te, którym zapewniono spokój. Nieszczęśliwe dzieci zapadają na rzeczywiste i wyimaginowane schorzenia, takie jak bóle głowy czy wypryski, mają też problemy z nadwagą. Tymczasem stres można zredukować albo wręcz wyeliminować, poprawiając warunki życia. Zmiana otoczenia, zdrowsza dieta, więcej zrozumienia i miłości – to wszystko jest bardzo ważne. Tak samo jest ze zwierzętami.

Przejawem pychy jest sądzić, że jakiegokolwiek sztuczne warunki hodowli stworzone przez człowieka mogą się równać z naturalnymi, bądź wręcz być lepsze od nich. Prosięta są często zbyt wcześnie odstawiane od piersi i umieszczane w rzekomo ciepłych, bezpiecznych pomieszczeniach. Ale nawet najlepsze warunki, jakie człowiek może stworzyć zwierzęciu, nie dorównają naturze w zapewnianiu młodemu bezpieczeństwu, stabilności, uwagi, towarzystwa i prawidłowego pożywienia. Dlatego właśnie na tym wczesnym etapie hodowli małe często chorują i dostają swoją pierwszą kurację antybiotykami.

Sukces w rolnictwie coraz częściej mierzony jest wynikami produkcji. Hodowcy notują wysoką wydajność i uważają, że inwestycja zwróciła się z nawiązką, jeśli tylko samice we względnie krótkim okresie wydadzą na świat dostatecznie dużą liczbę potomstwa. Rzadko kiedy bierze się pod uwagę fakt, że matka będąca prawie nieustannie w ciąży żyje krócej, a przez to nie przekazuje potomstwu swojej życiowej mądrości. To z kolei zuboży kolejne pokolenia, którym będzie brakować wiedzy i które będą gorzej przygotowane do dorosłego życia i własnego rodzicielstwa. Mamy zatem do

czynienia z rolnictwem na krótką metę.

Einstein powiedział, że jedyną wartościową rzeczą jest nasza intuicja. Instynkt i intuicja to najważniejsze narzędzia, jakimi dysponuje każda żywa istota. Tymczasem niemal w każdym przedsiębiorstwie zajmującym się przemysłową hodowlą zwierząt obie te cechy są bezwzględnie tępione, żadna nie ma szans w pełni się rozwinąć. Tłumiąc naturalne odruchy w zwierzętach i dzieciach, narażamy całą naszą społeczność na niebezpieczeństwo.

Ilekcio dążenie do maksymalizacji zysku prowadziło do intensyfikacji, najbardziej cierpiały zwierzęta. Choroby bydła często są wywołane lub pogłębiane nadmiernym ściskiem, nieodpowiednimi pomieszczeniami i kiepską lub wręcz niebezpieczną karmą. Warunki życia tworzone w tego typu systemach powodują stres, a powszechnie wiadomo, że organizm wytwarzający duże ilości hormonów stresu traci odporność.

U zwierząt, które mają zapewnione właściwe warunki bytowe, nie muszą walczyć o pokarm, mogą swobodnie się poruszać, a przede wszystkim mają możliwość spędzania czasu w rodzinnych grupach z przewagą dojrzałych osobników, może się wytworzyć odporność na pasożyty płucne i żołądkowe. To z kolei eliminuje zapotrzebowanie na leki przeciworobacze, które nie dość, że zmniejszają naturalną zdolność do zwalczania infekcji pasożytniczych, to pozostawiają też ślady w mięsie i mleku.

W gospodarstwach, w których zwierzęta grupuje się według wieku albo rozmiarów, pozbawia się je nie tylko korzyści zdrowotnych, ale i towarzystwa starszych osobników, od których w normalnych okolicznościach – w naturze – mogłyby się uczyć. Wiele krów żyje w całkowicie nienaturalnych warunkach, a najbardziej dotyczy to krów mlecznych. Te ostatnie uważa się często wyłącznie za dostarczycielki mleka, są więc karmione w taki sposób, by zmaksymalizować ich wydajność. Dieta bogata w białko nie uwzględnia ich preferencji, wymogów fizjologicznych

i żywieniowych, nie wpływa korzystnie na poczucie komfortu ani na zdrowie. Niezwłocznie po urodzeniu cielęta są siłą odbierane matkom i hodowane sprzecznie z ich naturą lub zwyczajnie zabijane. Bywa, że karmi się je substytutem mleka zamiast mlekiem matki, do którego mają przyrodzone prawo. Notorycznie umieszcza się je w ciasnych boksach, gdzie nie mają kontaktu z innymi krowami. Niektóre zagrody są na stałe zadaszone, a trzymanym w nich cielętom brakuje świeżego powietrza, światła słonecznego i ruchu. Karmienie odbywa się o ściśle wyznaczonych porach, które nie zawsze odpowiadają indywidualnym potrzebom zwierząt.

Kulawizna, która często przybiera formę chroniczną, dotyka znacznej liczby krów mlecznych, a te przez większość życia chodzą albo stoją na nieodpowiednich, niewygodnych nawierzchniach. Krowy odczuwające permanentny ból mniej jedzą, o ile w ogóle mają apetyt, i często stają się bezpłodne, a wówczas są przeznaczane na ubój.

Wiele krów trzymanych jest stale w zamkniętych pomieszczeniach, często w bardzo licznych stadach, w tak zwanych supermleczarniach. Krowy hodowane w takim systemie nigdy nie jedzą trawy, nie wiedzą, co to łąka, nawet na chwilę nie opuszczają swoich boksów. Jakość produkowanego przez nie mleka jest wątpliwa. Jakość ich życia w najlepszym razie nienaturalna, w najgorszym – nieznośna.

Na naszej farmie, Kite's Nest, cielęta zostają przy swoich matkach tak długo, jak chcą. Piją ich mleko co najmniej przez dziewięć miesięcy, a w praktyce aż do momentu, kiedy matce kończy się pokarm, czyli na jeden do trzech miesięcy przed urodzeniem następnego cielaka. W 1953 roku hodowaliśmy na mleko komercyjną rasę Ayrshire, ale około roku 1974 zdaliśmy sobie sprawę, że produkcja mleka jest nieopłacalna (i bardzo wymagająca). Poza tym moi rodzice, brat i ja zaczęliśmy poważnie wątpić, czy ten system hodowli faktycznie nam odpowiada. Postanowiliśmy przejść

na taki, w którym każda krowa karmi tylko swoje własne cielęta.

Punkt zwrotny nastąpił na początku lat osiemdziesiątych, w dniu, w którym wyjątkowo bystry i sympatyczny młody byczek o imieniu Lochinvar miał opuścić naszą farmę jako przyszły opas, czyli byk hodowany na mięso. Wszyscy doskonale wiedzieliśmy, jak bardzo będzie nam go brakowało, i nieustannie łapaliśmy się na tym, że myślimy, jaki będzie jego nowy dom – czy czeka go daleka podróż, w trakcie której zgłodnieje albo będzie mu się chciało pić, czy będzie dobrze traktowany. Tego dnia postanowiliśmy sami sprzedawać wołowinę prosto z naszego gospodarstwa, tak byśmy byli odpowiedzialni za każdy etap produkcji i mogli zapewnić naszych klientów, że wiemy dokładnie, czym były karmione nasze zwierzęta przez całe swoje życie. Dosyć niedawno, bo w 2012 roku, zaczęliśmy komercyjną hodowlę owiec i dziś sprzedajemy też jagnięcinę i baraninę.

Jeśli chodzi o mleko, to większość cieląt doskonale wie, gdzie go szukać i jak ssać wymię matki, ale bywa i tak, że na samym początku niektóre potrzebują naszej pomocy. Jeśli poród był bezproblemowy i krowa nie cierpiała, cielę ssie jej mleko w normalnej pozycji, ale bywa, że po bolesnym porodzie matka zdaje się obwiniać swoje młode, a wtedy pozwala mu ssać mleko tylko od tyłu, by go nie widzieć.

Cielaki uwielbiają się ze sobą bawić, a w zabawie naśladować się wzajemnie i uczyć. Dowiadują się, gdzie można znaleźć najlepszą, najśłodsza wodę i jak skubać młode pędy z żywopłotów. Jak koty, psy i ludzie, a tak naprawdę wszystkie żywe istoty, cielęta uczą się, komu można ufać. Młode ustawi się pod nosem starszego zwierzęcia tylko wtedy, gdy będzie się przy nim czuło bezpiecznie. Niektóre krowy lubią się rządzić, korzystają z każdej okazji, by okazać dominację, a pretekst znajdą nawet w zupełnie niewinnym, lekkim szturchnięciu. Inne zawsze trzymają nerwy na wodzy, jeszcze inne są całkiem nieśmiałe. W stadzie krów wszystko sprowadza się do charakteru: zwierzę

o silnej osobowości, nawet pozbawione rogów, potrafi samym spojrzeniem odstraszyć rogatego oponenta.

Krowy i cielęta spędzają razem dni na tyle samo różnych sposobów, co matki z dziećmi u ludzi. Między niektórymi tworzą się tak silne więzi, że małe całymi tygodniami nie oddalają się od swoich mam. Inne cielaki zaprzyjaźniają się z rówieśnikami nawet pierwszego dnia po przyjściu na świat. Te pozarodzinne relacje zazwyczaj dopełniają relację z matką, ale zdarza się, że ją całkowicie zastępują, tak jak to było w przypadku White Boys⁴ (patrz strona 63), którzy o swoich mamach przypominali sobie tylko wtedy, gdy chcieli się napić mleka albo potrzebowali odrobiny pielęgnacji.

Wszystkie krowy i cielęta z przytaczanych przeze mnie anegdot cieszyły się swobodą i zawsze mogły same decydować, czy chcą zostać pod dachem, czy wyjść na dwór. Miały też stały dostęp do pokarmu i wody.

Każde niepotrzebne ograniczanie wolności i nienaturalne traktowanie zwierząt jest nie do obrony. Zwierzęta hodowlane, którym zapewnia się dostateczną swobodę, mogą samodzielnie uzupełniać dietę leczniczymi roślinami i znajdować dla siebie zajęcia zmniejszające stres, a to z kolei eliminuje konieczność stosowania leków. Nasze zwierzęta faktycznie wynajdują sobie rośliny, które ich instynkt podsuwa im jako niezbędne dla zdrowia. Krowy regularnie wybierają się jesienią na jeżyny, a na wiosnę jedzą liście młodego głogu. Kiedy tylko nadarzy się sposobność, skubią liście jesionu i wierzby. Niektóre poszukują macierzanki i szczawiu, a inne, o określonych porach roku i często zależnie od fazy ciąży, jedzą duże ilości parzącej pokrzywy. Owce potrafią się obżerać ostem i szczawiem. W wierszu *The Shepherd's Calendar* (Kalendarz pasterza) John Clare pisał: „Osioł [...] klęknął aż po ostu kiełkujący pęd”. Szczaw jest głęboko zakorzeniony w glebie, jego liście zawierają ważne minerały i inne śladowe substancje, których mniej znajdziemy w roślinach o krótkich, płytko sięgających

korzeniach.

Uznaliśmy, że zwierzęta same podejmują najlepsze decyzje odnośnie do swojego dobrostanu, i właśnie ich decyzje, a oprócz tego wiele innych, zwyczajnych i niesamowitych zdarzeń, dane mi było obserwować, studiować i opisać w poniższych rozdziałach.

Farmerzy mają moralny obowiązek dbania o swoje zwierzęta, ale warto też zauważyć, że mięso zwierząt hodowanych w naturalny sposób smakuje lepiej i uważane jest przez wielu lekarzy i innych ekspertów za zdrowsze.

Kiedy Boswell pisał *Żywot doktora Samuela Johnsona*, pytał: „Czy taki umysł, jaki jemu był dany, nie czerpał aby więcej ze swobodnych podróży po krainie literatury, niż gdyby trzymać go przymusem w jednej tylko sferze?“, po czym dokonał takiej analogii: „Mięso zwierząt karmionych na wolności więcej ma smaku niż to, które dają nam te stłoczone w kojcu”.

W *Targowisku próżności* Thackeraya Lord Steyne po spożyciu kolacji w towarzystwie króla, na której serwowano baraninę, mówi: „Czasami najskromniejsze jarzynki są lepsze niż nieświeża wołowina” ⁵.

W bliższych nam czasach doktor Peter Mansfield zbadał, jaką rolę pełni tłuszcz w naszej diecie, i zastanawiał się, czy jest on odpowiedzialny za zwiększoną częstotliwość występowania chorób serca. W książce *Chemical Children* (Chemiczne dzieci) pisze:

Bardziej prawdopodobne, że szkodliwy może być raczej rodzaj spożywanego tłuszczu, nie jego ilość [...]. Wiemy już sporo dzięki analizie zwyczajów naszych przodków, którym mięsna dieta służyła wyśmienicie. Tyle że zwierzęta w ich czasach były zdrowe i przez okrągły rok żywiły się zróżnicowanym pokarmem. Jadły nie tylko młodą zieloną trawę, ale też taką, która parę miesięcy później zawiązała nasiona. Sięgały, o ile tylko się dało, po liście i pędy drzew. Do dziś to robią, jeśli tylko dać im ku temu sposobność. Ale drzewa rosną powoli, a dzisiejsze pastwiska są zwykłe

ogrodzonymi trawnikami. Taka trawa nie ma szans zawiązać nasion [...]. Zatem współczesne zwierzęta mają do dyspozycji znacznie uboższą dietę niż ich przodkowie [...]. Pełne ziarna i warzywa o ciemnozielonych liściach są wielkimi nieobecnyymi. Tymczasem w zamierzchłych czasach stanowiłyby one w diecie zwierząt najważniejsze źródła dwóch kwasów tłuszczowych, których nie da się wytworzyć w żaden inny sposób, czyli kwasu linolowego i linolenowego [...]. Bez nich zwierzęta nie rosną [...]. Rodzaj tłuszczu obecnego w nowoczesnych dietach jest zatem kluczowy i może się okazać ważnym czynnikiem w szerokiej gamie zaburzeń, których dziś nie potrafimy dobrze wytłumaczyć, takich jak alergię czy stwardnienie rozsiane [...]. Zwierzęta hodowane bez troski o ich zdrowie często chorują. Tymczasem sami bylibyśmy wystawieni na dużo mniejsze ryzyko, gdyby spożywane przez nas mięso było produkowane powoli, z myślą właśnie o zdrowiu, nie o ilości.

W przypadku hodowli i opieki nad kurami różnica między systemem intensywnym a organicznym jest ogromna i z każdym dniem coraz większa. Dla przykładu: ptak przeznaczony na sprzedaż jako przyszła niedzielna pieczeń osiąga swoją docelową wagę w osiemdziesiąt dni w systemie organicznym, ale tylko w czterdzieści dwa dni na fermie przemysłowej. Kury hodowane intensywnie mają często podawane antybiotyki, bo w ten sposób ich właściciele zapobiegają śmierci wywołanej skutkami życia w skrajnie nienaturalnych warunkach. Odbiera się im dostęp do świeżego powietrza i światła dziennego, trzymane są w takich ilościach na małych przestrzeniach, że praktycznie nie są w stanie się poruszać, a do tego dochodzi takie programowanie hodowli, w którym nadrzędną wartością jest tempo rozwoju i rozmiar dorosłego ptaka, w związku z czym ich szkielety są często przeciążone nadmierną wagą ciała. Nie dość, że zwiększa to częstotliwość złamań, to jeszcze tak hodowane kury są zbyt ciężkie i mają zbyt zdeformowane ciała, żeby móc siedzieć na grzędach. Spędzają więc całe

swoje życie w przesiąkniętych amoniakiem odchodach, które wypalają im pęciny i stopy.

Ptaki hodowlane powinny mieć możliwość podążania za instynktem, rosnąć w naturalnym tempie, jeść bezpieczny pokarm i żyć z godnością. Niemal wszystkie kurczęta przeznaczone do produkcji jaj rodzą się w inkubatorach i dojrzewają w sztucznie ogrzewanych zagrodach. Ponad połowa przed osiągnięciem wieku rozrodczego jest przenoszona do kojców z metalowej siatki, w których dożywają reszty swoich dni bez szans na wypełnianie jakichkolwiek naturalnych funkcji życiowych. W dodatku wcześniej odcina im się dzioby, żeby z nudów nie okaleczały swoich współwięźniów.

W naturalnych warunkach kura znosi jaja i wysiaduje je aż do wyklucia się piskląt. Potem uczy swoje małe, co mają jeść i jak szukać pożywienia. Pilnuje ich, zjednuje je sobie i chroni, nieustannie do nich mówiąc i zawsze wypatrując zagrożeń. Gdy te się pojawiają, momentalnie wszystkie je zbiera i błyskawicznie ukrywa. Badania pokazują też, że kurczęta hodowane z dala od matek są bardziej agresywne ⁶.

Zdrowe i szczęśliwe kury mają lśniące pióra, błysk w oku i przez cały dzień są aktywne – dziobią, skubią, tną, wyrywają, biegają, badają, kopią, bawią się i podśpiewują. Jeśli nie mogą znaleźć tego, czego szukają, a w pobliżu są ludzie, których darzą zaufaniem, podchodzą do nich i śpiewają jeszcze głośniej, tak długo, aż zostaną zauważone. Wtedy to do człowieka należy domyślenie się, czego chcą. Zazwyczaj nie jest to trudne.

Kury chore i smutne mają zmatowiałe pióra, nie śpiewają, zbyt często się pierzą. Stoją z pochylonymi głowami, są nazbyt nieśmiałe albo przesadnie agresywne. Zdrowie zapewnia się im i podtrzymuje je, spełniając ich podstawowe potrzeby; choroby wynikają z deprywacji. Jeśli umieścimy kury i świnię w ciasnych pomieszczeniach i pozbawimy je możliwości wyboru

pożywienia, będą jadły to, co im podsunie, i wprawdzie będą dalej żyć, ale będzie to życie przepełnione nudą i frustracją. Gdyby w podobnych warunkach trzymać krowy albo owce, nawet nie chcę myśleć, jak by sobie z tym radziły, o ile w ogóle by im się to udało.

Powszechnie uważa się, że zwierzęta takie jak koty, psy i konie, rzadko kiedy trzymane przez jednego właściciela w dużych ilościach i na ogół obdarzone troskliwą opieką, są zdolne do okazywania oznak znudzenia i niezadowolenia. Wiemy, że potrafią tęsknić i wyrażać głęboki żal po stracie, łatwo rozpoznajemy u nich objawy choroby. Kury hodowane są zazwyczaj w tak ogromnych stadach, że monitorowanie stanu poszczególnych osobników jest niemożliwe. Przyjmuje się zatem, że skoro nie są w stanie zwrócić na siebie uwagi swoich opiekunów, to znaczy, że w ogóle nie mają uczuć, którymi warto się przejmować.

Być może łatwiej jest uznać, że zwierzęta nie odczuwają, bo wtedy można czerpać z nich zysk bez dbania o ich potrzeby, bowiem troszczenie się o nie zwyczajnie się nie opłaca. Tymczasem szczęśliwe zwierzęta rosną szybciej, są zdrowsze, nie stwarzają zbyt wielu problemów i na dłuższą metę zapewniają większy zysk, jeśli tylko weźmie się pod uwagę wszystkie czynniki, takie jak ich wpływ na zdrowie ludzi i stan środowiska naturalnego. W. H. Hudson powiedział: „Pamiętajmy, że zwierzęta są nieszczęśliwe tylko wówczas, gdy my je unieszczęśliwiamy”.

Pod wieloma względami krowy mają takie same potrzeby jak ludzie: brak stresu, odpowiednie miejsce do życia, zdrowy pokarm i czysta woda, swoboda ruchu, możliwość wyjścia na spacer albo stania bez ruchu i patrzenia w dal. Każde zwierzę potrzebuje towarzystwa innych, przyjaźnie nastawionych osobników tego samego gatunku. Krowa zasługuje na to, by korzystać ze swoich „praw” na własnych warunkach, wtedy, kiedy chce, a nie według planu ustalonego przez człowieka.

Cielę można traktować na tyle samo sposobów, co ludzkie dziecko. Większość ludzi rozumie, że dzieci potrzebują bezpieczeństwa, ciepła i wygody, dobrych ubrań i butów, jedzenia i picia, ciekawych zajęć, przyjaciół w tym samym wieku i dorosłych, którzy wskażą im drogę i okażą miłość. Nikt nie oczekuje, że z zaniedbanego, niedożywionego, samotnego i wystraszonego dziecka wyrośnie zrównoważony człowiek. Uważam, że tę samą logikę powinniśmy stosować, opiekując się zwierzętami hodowlanymi. Jakość pokarmu i ogólnie pojęte środowisko każdej żywej istoty określają jej potencjał w późniejszym życiu.

O świniach często mówi się, że są inteligentne. Słusznie. Nikczemnością, wręcz przestępstwem jest trzymanie ich na uwięzi, uniemożliwianie im rycia w ziemi i budowania gniazd. Intensywny system hodowli przekształca je z sympatycznych, szczęśliwych istot w drażliwe, niebezpieczne i niezrównoważone, ale wciąż bystre zwierzęta.

Równie często owce określane są mianem głupich, mimo iż z całą pewnością głupie nie są, co wiemy chociażby od George'a Hendersona, który w swojej książce poświęconej rolnictwu organicznemu zauważa, że „wbrew powszechnej opinii owca jest zdecydowanie najinteligentniejszym ze zwierząt hodowlanych”. Dostałam kiedyś pod opiekę osieroczone jagniątko, któremu dałam na imię Ellen. Została do nas przywieziona dwie godziny po urodzeniu, nakarmiona siarą przez matkę, która nie miała dość mleka, by zaspokoić potrzeby obydwójga swoich jagniąt. Rolnik, który ją nam przywiózł, miał charakterystyczny, niski i zachrypły głos. Kiedy po sześciu tygodniach znów nas odwiedził, Ellen rozpoznała go po głosie i pobiegła w jego stronę. Kilka lat później stłukłam sobie kolano i kiedy podskakiwałam z bólu na jednej nodze, owca przerwała posiłek i podeszła do mnie z ewidentnym współczuciem w oczach. Wróciła do jedzenia dopiero wtedy, kiedy przekonałam ją, że ból ustał, choć w rzeczywistości dalej mi dokuczał.

Hodowanie owiec w dużych stadach stało się jedyną opłacalną opcją z wielu różnych powodów. Ale kiedy trzyma się razem setki owiec, zupełnie niemożliwe jest dostrzeżenie ich indywidualnych cech. Tymczasem jeśli tylko poświęcimy im dostatecznie dużo czasu i zaczniemy je obserwować jako odrębne jednostki, z czasem różnice ich charakterów będą niemożliwe do przeoczenia. Zauważymy też ich rozwój.

Zachowanie i zdrowie wszystkich zwierząt uzależnione są od jakości pożywienia, które jedzą, i ilości stresu, jakiemu są poddawane. Stres zaś może być wywołany właśnie przez pokarm. Pojedynczy związek chemiczny dodawany do roślin uprawnych czy też jedna substancja wprowadzona do końcowego produktu mogą się wydawać czymś niewinnym, ale prawda jest taka, że większość posiłków jest kombinacją różnych składników, a wpływ, jaki na zdrowie konsumentów ma spożywanie kilku nienaturalnych substancji naraz, jest wciąż wielką niewiadomą. Obecnie w Wielkiej Brytanii większość zwierząt hodowanych przemysłowo karmiona jest paszami opartymi na zmodyfikowanej genetycznie soi. Czas pokaże, czy spowoduje to kolejne problemy.

Kiedy zwierzęta muszą konkurować o pożywienie i najsłabsze osobniki nie otrzymują dostatecznych ilości karmy, oznacza to dla nich dodatkowy stres, który zwiększa ich podatność na choroby. W dużych stadach trudno jest leczyć każde zwierzę z osobna, więc powszechnie stosuje się masową kurację, nierzadko profilaktycznie. Wprawdzie czyni to życie pasterza łatwiejszym, ale przy okazji oznacza, że każdy osobnik przyjmuje zwiększoną ilość leków, co jest jednym z czynników odpowiedzialnych za stale rosnącą odporność na niektóre z nich ⁷.

Przypadki gruźlicy u krów, wywołanej, jak sądzą niektórzy, przez borsuki, to jedna z kwestii, jakie przychodzą do głowy, kiedy jest mowa o stresie u zwierząt. Została ona przytoczona w materiale dowodowym przed Komisją

Rolnictwa Izby Gmin, kiedy ta w 1999 roku prowadziła dochodzenie w sprawie borsuków i krowiej gruźlicy: „Bydło trzymane w przemysłowo prowadzonych stadach żyje w warunkach porównywalnych z tymi, które przyczyniły się do epidemii ludzkiej gruźlicy w najuboższych i najbardziej przeludnionych częściach świata”.

Na naszej farmie staramy się stworzyć środowisko, w którym zwierzęta mają pełną wolność w decydowaniu, czy w danym momencie się z nami komunikować, czy od nas oddalić.

Rzekomo nieciekawe życie krowy czy cielaka – albo obojga – nie jest zapewne tematem, który ożywi wyobraźnię każdego człowieka. Zawarte w tej książce prawdziwe historie pokazują jednak, jak wygląda egzystencja zwykłych krów, które wypełniają swoje codzienne obowiązki. Wyłania się z nich obraz krowiego życia, które bywa równie zajmujące i zróżnicowane, co nasze, ludzkie. Co prawda większość dnia krowy poświęcają pracy (czyli jedzeniu), ale zawsze znajdzie się czas na dodatkowe zajęcia, takie jak opieka nad dzieckiem przyjaciółki, zbieranie jeżyn, walka z drzewem albo górą ziemi, zabawa w berka ze stadkiem młodych albo z lisem czy też ciche rozmowy o zbliżającym się porodzie i połogu. Wszystkie te czynności (i wiele, wiele innych) mieliśmy okazję obserwować z bliska przez lata, a teraz oddajemy do rąk czytelników zapis dotychczas sekretnego życia krów.

Opowiedziałam te historie, wiernie oddając wszystko to, co się zdarzyło, ale interpretacja zachowań opisywanych tu „postaci” jest oczywiście moja. Celowo piszę o krowach jak o osobach, bo tak właśnie o nich myślę.



Sekretne życie krów

Zawsze byliśmy dumni z naszego stada krów. Doiliśmy je, mówiliśmy do nich po imieniu, głaskaliśmy i z przyjemnością obserwowaliśmy różnorodność ich charakterów. Ale dopiero kiedy miałam trzynaście lat, zdałam sobie sprawę z tego, że krowy lubią siebie nawzajem.

W 1968 roku hodowaliśmy na mleko stado krów rasy Ayrshire. Latem wynajęliśmy trzy pola na stromym, dziewiczym wzgórzu, jakieś sześć kilometrów od naszego gospodarstwa. Wypożyczoną ciężarówką zawieźliśmy „zasuszone” krowy i ich jałówki na letni wypas. Spędziły tam trzy miesiące, podczas których jadły świeżą trawę, piły lodowatą wodę ze strumienia i ogólnie dobrze się bawiły. Ich mleczne koleżanki, które zostały na farmie, też wydawały się szczęśliwe – jak zawsze. Kiedy okres wynajmu pól dobiegł końca, wypożyczyliśmy tę samą ciężarówkę i w umówiony dzień przywieźliśmy wypoczęte wczasowiczki do domu.

Chyba wszyscy czworo widzieliśmy, że przez kilka dni od powrotu rozłączone na lato Sunbeam i Moonbeam, matka i córka, stały bark w bark na podwórku i na łące, rozmawiając o minionych trzech miesiącach. Nie były jakoś specjalnie podekscytowane, ale bardzo się cieszyły, że znów są razem.

Kiedy były osobno, nie tęskniły. Jako krowa mleczna Sunbeam nie karmiła swojej córki i nie byliśmy nawet pewni, czy ją rozpozna, ale ta powakacyjna demonstracja wzajemnych uczuć otworzyła nam oczy na

całkiem nowy świat krowiej przyjaźni.

Parę słów o pomysłowości

Kiedy Wizzie, też rasy Ayrshire, urodziła swojego drugiego cielaka (krągłutką, śliczną i krótkonogą dereszowatą jałówkę Meg), powiedziała córce, że ta jest wspaniała, i mała wzięła sobie jej słowa do serca. Wraz z nadejściem zimy błoto stało się codziennym problemem i Meg dała wszystkim jasno do zrozumienia, że nie zamierza brudzić swoich mahoniowych stóp. Jakimś cudem udało się jej pokonać strome kamienne schody do spichlerza i któregoś mroźnego ranka ujrzeliśmy, jak wychodzi na najwyższy stopień, ziewa i leniwie się rozgląda, by zobaczyć, czy warto w ogóle wstawać (czyli schodzić na dół). Noc spędziła wygodnie na drewnianej podłodze spichlerza, z dala od błota, zimnego wiatru i docinków ze strony innych krów. Drzwi spichlerza były otwarte, bo do głowy nam nie przyszło, że którakolwiek z krów pokona tak wysokie schody. Później Meg nauczyła swoje dwie koleżanki wspinaczki, i już całej trójce kładliśmy na górze siano i wodę.

Alice i Jim

W 1974 roku zaprzestaliśmy komercyjnej produkcji mleka. Od tamtej pory pozwalaliśmy krowom karmić własne cielęta, ale nadal doiliśmy jedną lub dwie, żeby zaspokoić nasze domowe potrzeby.

Alice dołączyła do naszego domowego stada w 1990 roku. Każdego dnia, prowadząc ją na dojenie z pola na farmę, odkrywaliśmy nie tylko jej inteligencję i serdeczną, delikatną naturę, ale też upodobanie do zabaw.

Była duża i czarna. Miała szerokie czoło i wielkie, ciemne, mądre oczy. Bardzo szybko przyswoiła sobie przyjęty przez nas tryb dojenia. To odbywało się raz dziennie, naszym celem była samowystarczalność. Codziennie wczesnym wieczorem któreś z nas szło po nasze karmicielki, które prawie zawsze pasły się na swoim ulubionym polu w kształcie wielkiej litery „L”. Rozciąga się z niego najlepszy widok na farmę, jest bardziej płaskie od innych i wydaje się nie mieć końca; nie wiemy na pewno, czy krowy upodobały je sobie tak bardzo właśnie z powodu ładnego widoku. Od zabudowań gospodarskich idzie się tam cały czas pod górę przez Pole Orzechowe, porośnięte studwudziestoletnimi drzewami. Kiedy dotrze się na szczyt wzgórza, staje się na Wielkim „L”. Najczęściej obydwie nasze krowy stały tak daleko, jak tylko się dało, ale wiedziały, po co przyszliśmy, i bardzo chętnie wracały z nami na farmę.

Czasem Alice postanawiała nieco urozmaicić nam wycieczkę i idąc spokojnie przy moim boku, nagle się rozpędzała, wyrzucała racice w górę i znikła mi z oczu. Ja szłam dalej z drugą krową, a kilkaset metrów dalej widziałam Alice próbującą bawić się w chowanego. Ze wszystkich sił starała się ukryć za orzechem. Oczywiście była za duża i kiedy tylko orientowała się, że ją wypatrzyłam, galopowała dalej i próbowała schować się za następnym drzewem. I tak do samego końca, aż nie doszliśmy do zagrody.

Po latach pracy jako karmicielka, Alice miała trzymiesięczny urlop, który spędziła na polu z koleżankami. Kiedy zbliżał się czas jej kolejnego ocielenia, zaprowadziliśmy ją do obory, bo chcieliśmy być blisko na wypadek, gdyby nas potrzebowała. Alice zdała sobie sprawę, że przyszliśmy zabrać ją do domu, i ochoczo do nas dołączyła. Ale po jakichś pięćdziesięciu metrach spokojnego marszu znowu gwałtownie odskoczyła i pobiegła na drugi koniec pola, do swojej przyjaciółki Torii. Powiedziała jej, dokąd się wybiera, po czym przydreptała z powrotem do nas. Reszta drogi przebiegła

bez przygód i nazajutrz, bez naszej pomocy, urodził się Abou. Tydzień później Toria urodziła Glorię i cała czwórka wkrótce dołączyła do reszty stada.

W następnym roku Alice urodziła Jima. Był kruczoczarny, z białym ogonem i miał bardzo wysokie IQ. Kiedy miał roczek, na świat przyszło jego rodzeństwo, bliźnięta Alice II i Arthur. Jim był już wtedy odchowany, zdążył się odseparować od matki, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie, i przebywał w innej części farmy ze swoimi znajomymi. Kątem oka zerkał w stronę Alice, kiedy ta pierwszy raz wyprowadziła bliźnięta na słońce i na chwilę zostawiła je same, żeby się pasły. W końcu przeskoczył przez ogrodzenie i trochę marszem, trochę truchtem zbliżył się do rodzeństwa, żeby się przedstawić. Byli dużo za mali, żeby go naprawdę zainteresować, więc niebawem ruszył z powrotem do swoich kolegów. Arthur, który nie miał jeszcze nawet dwunastu godzin, postanowił iść za nim. Nogi wciąż odmawiały mu posłuszeństwa, ale determinacja, by nie zostać w tyle, rosła w nim z każdym krokiem. Patrzyliśmy wszyscy, jak kuśtyka w pośpiechu za starszym bratem. Jim dotarł do ogrodzenia, przeskoczył na drugą stronę i zniknął nam z oczu. Arthur gapił się za nim z żalem i niedowierzaniem, uważnie obejrzał płot ze wszystkich stron i w końcu wrócił powoli do siostry.

Kilka miesięcy później, w środku ponurej zimy, Jim obmyślił sposób na urozmaicenie sobie każdego kolejnego dnia. Grubaśka II mieszkała w tej samej oborze co Jim i, jak zawsze, mogła wychodzić na zewnątrz, kiedy tylko chciała. Zawsze wybierała się na spacer do silosu z kiszonką i spożywała tam spokojny posiłek, który trwał około godziny. Jim nie mógł zrozumieć, dlaczego i jemu nie zaproponowano tego przywileju. Po kilku dniach uważnej obserwacji wymyślił rozwiązanie, które nas wszystkich rozbawiło i zadziwiło.

Stałam z przyjaciółką w kuchni i prawdopodobnie piłam herbatę, a na

pewno wyglądałam przez okno. W pewnej chwili zobaczyłam, że Jim wychodzi z podwórka na pole. Brama stała otworem, ale było tak zimno, że żadna inna krowa nie skorzystała z okazji do wyjścia. Jim ruszył zdecydowanym krokiem, z dala od znajomych i jedzenia, w stronę Pola Wiśniowego. Nagle zrozumiałam, co zamierza zrobić, i z myślą o znajomej komentowałam na żywo jego następne kroki. Jim przeszedł jeszcze sto metrów, aż do przeszkody dla bydła (rowu nakrytego kratownicą), ostrożnie, małymi kroczkami przedostał się na drugą stronę, po czym ruszył drogą przed domem i dołączył przy kiszonce do Grubaśki II. Oczywiście od tamtego dnia pozwalaliśmy mu korzystać z krótszej trasy.

Matki i córki

Więzi łączące matki z ich cielętami bywają złożone i fascynujące. Niektóre matki są łagodne i uległe wobec swoich małych, inne apodyktyczne, jeszcze inne zbyt pobłażliwe. Dwie bodajże najciekawsze historie dotyczą relacji Dolly z Dolly II i Stephanie z Olivią.

Stephanie i jej córka Olivia miały normalny, bliski związek i wszędzie chodziły razem, dopóki Olivia nie urodziła pierwszego cielaka. Kiedy zbliżał się termin, Stephanie doradzała Olivii, pocieszała ją i pomogła jej znaleźć dobre miejsce na poród: blisko czystej, bieżącej wody. Sama oddaliła się na bezpieczną, ale dyskretną odległość pięćdziesięciu metrów. Olivia ocielila się bez trudności i momentalnie straciła głowę dla swojego pięknego kremowego byczka, któremu daliśmy na imię Orlando. Wylizala go do sucha, nakarmiła i nie mogła oderwać od niego wzroku. Stephanie podeszła do nich parę godzin później, żeby się przedstawić, i przez kilka następnych dni pasła się nieopodal w nadziei, że stanie się nieodłączną częścią nowej rodziny Olivii. Jako że młode cielaki w pierwszych dniach po urodzeniu bardzo dużo śpią,

babcie przydają się jako opiekunki. Bywa, że rola ta przypada nawet niespokrewnionym krowom. Całkiem często zdarza się, że jedna krowa pilnuje jednocześnie kilkorga cieląt, ale obowiązki przydzielane są demokratycznie i każda krowa ma swoją kolej.

Niestety Olivia nie życzyła sobie wsparcia od Stephanie. Nie chciała nawet na chwilę opuszczać Orlanda. Jadła jak najbliżej syna, a ilekroć dokądś szedł, podążała tuż za nim. Nie zgodziła się nawet na to, by matka pomogła jej w pielęgnacji małego. Ignorowała ją w sposób wręcz skandaliczny. Czwartego dnia Stephanie straciła cierpliwość. Zraniona i zdziwiona, odwróciła się ogonem do córki, przeskoczyła przez najbliższe ogrodzenie i pobiegła na inne pole, żeby wypasać się z dawnymi przyjaciółkami.

O ile się nie mylę, już nigdy więcej ze sobą nie rozmawiały.

Inaczej sprawy się miały z Dolly i jej córką. Dolly była mądrą, dosyć starą krową. Miała ciemne, mahoniowe umaszczenie, szczupłą sylwetkę i bystry, bardzo bystry umysł. Urodziła w życiu wiele cieląt i każdym wspaniale się opiekowała. Przez kilka miesięcy każdemu dawała piętnaście do dwudziestu litrów mleka dziennie, stopniowo zmniejszając ilość pokarmu na przestrzeni od dziewięciu do dwunastu miesięcy. Dzięki temu, kiedy przychodził czas na odstawienie cielaka od wymion, małe żywiło się przede wszystkim trawą i nie potrzebowało mleka. Codziennie Dolly czyściła też każdy centymetr kwadratowy ciała swoich cieląt. Chroniła je, dawała wsparcie i motywację i kazała uważać na ludzi. „Nie są tacy jak my”, mówiła im. „Od czasu do czasu przydają się do przynoszenia siana zimą, ale absolutnie nie ma obowiązku się z nimi spoufalać”. Wszystkie brały sobie jej rady do serca.

Jej pierwsze cztery cielaki były byczkami, które żyły w całkowitej izolacji od nas, choć trafniej byłoby powiedzieć, że miały nas głęboko w nosie. Piąte ciele, Dolly, było dziewczynką. Nazwaliśmy ją Dolly II.

Była przepiękna. Z jasną, złocistobrazową sierścią była skrajnym

przeciwieństwem swoich ciemnych braci. Miała duże, jelenie oczy i uroczą, ufną naturę. Nie bacząc na słowa swojej matki, Dolly II nas polubiła i podobało jej się, że i my ją lubiliśmy. Czasami, pieszcząc jej ciele, odruchowo klepaliśmy starą Dolly, trochę tak, jak byśmy jej gratulowali. Wtedy machała gniewnie głową, zła, że zapomnieliśmy o zasadach. Wprawdzie cieszyliśmy się z zaufania, jakim obdarzały nas nasze krowy, ale podziwialiśmy też te, które były od nas niezależne.

Kiedy Dolly II miała piętnaście miesięcy, jej matka znów się ocieliła i jak zwykle całkowicie poświęciła się wychowaniu nowo narodzonego dziecka. Dolly II nie została przez nią odepchnięta, ale była coraz bardziej pomijana, aż w końcu zrozumiała, że jako dorosła krowa musi znaleźć sobie nowych przyjaciół i pozwolić matce robić to, w czym była najlepsza. Nawiazywanie przyjaźni nie sprawiało jej problemów.

Kiedy Dolly II była bliska urodzenia pierwszego cielaka, obserwowaliśmy ją codziennie, a z biegiem czasu dwa, nawet trzy razy dziennie. Zawsze staramy się być w pobliżu na wypadek komplikacji, choć te zdarzają się rzadko. Za każdym razem witała nas z przyjazną obojętnością. Czuła się wyśmienicie i nie rozumiała powodu naszych częstych wizyt.

Nie było nas przy porodzie. Jak dotąd jej życie przebiegało bez problemów, więc nie spodziewała się komplikacji. Zamiast wybrać otwarte, łatwo dostępne miejsce albo przyjść pod dom i poprosić nas o pomoc, jak przed nią zrobiło wiele młodych krów, Dolly II odeszła najdalej, jak tylko się dało, i znalazła kryjówkę otoczoną ze wszystkich stron zaroślami i wzniesieniami.

Kiedy zorientowaliśmy się, że zniknęła, od razu wiedzieliśmy, co to znaczy, i z miejsca zaczęliśmy jej szukać. Nasza farma jest dość duża, ma niezliczoną ilość zakamarków. Jeśli zacznie się poszukiwania od niewłaściwych miejsc, można nigdy nie znaleźć tego, czego się szuka. Tego

dnia było nas pięcioro i każde wyruszyło w innym kierunku z bardzo jasno określonymi wskazówkami.

Znaleźliśmy Dolly II za wzgórzem, na Polu Pomnikowym. Wyglądała jak siedem nieszczęść. Okazało się, że od wysiłku, jaki musiała włożyć w samodzielne urodzenie przerośniętego byczka, wypadła jej macica. Cielę urodziło się martwe, a wyczerpana Dolly II leżała na ziemi. Szybko postaraliśmy się przynieść jej ulgę. Czekając na przybycie weterynarza, napoiiliśmy ją wodą (lekko ogrzaną, żeby zimny płyn nie wywołał wstrząsu) i okryliśmy kocem. Weterynarz przyjechał bez większej zwłoki. Udało mu się zrepozycjonować macicę i zaszyć ranę. Z pomocą bel siana unieśliśmy krowę do pozycji siedzącej i tak zostawiliśmy. Wyglądała trochę lepiej, choć ciągle była zmęczona i nie miała wystarczająco dużo siły, by podnieść się z ziemi.

Kiedy godzinę później do niej wróciliśmy, koc leżał na trawie, puste wiadro leżało przewrócone, a po Dolly II nie było śladu. Nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom.

Po długich poszukiwaniach znaleźliśmy ją trzy pola dalej. Leżała przed swoją starą, mądrą matką, która lizała ją po całym ciele i pocieszała dużo lepiej, niż mogłoby to zrobić którekolwiek z nas. Od dawna nie widzieliśmy, żeby chociaż ze sobą rozmawiały. Skąd Dolly II wiedziała, gdzie szukać swojej matki? Nie mieliśmy pojęcia. Cieszyliśmy się, że słuszna okazała się nasza zasada otwartych bram. Dzięki niej powolnego, kalekiego marszu naszej Dolly II nie powstrzymały dwumetrowe drewniane bariery. Po sześciu dniach nieustannego przebywania razem matka i córka znów się rozdzieliły i w dobrych nastrojach poszły każda w swoją stronę.

Przypadki odepchnięcia albo ignorowania cieląt przez matki zdarzają się rzadko i jeśli już do nich dochodzi, to przynajmniej wśród naszych krowek dzieje się to w dość krótkim czasie. O ile dobrze pamiętam, odrzucenie matki

przez Olivię było czymś wyjątkowym. Prawie każdego dnia widzimy u nas córki radzące się matek w sprawach wychowawczych albo rozmawiające z nimi o pogodzie.

Ostatnio nie byliśmy pewni, kiedy dokładnie młoda Nell się ocieli, więc zdecydowaliśmy, że przez × dni powinna spędzać każdą noc ze swoją matką w oborze (× okazało się być równe dziewięć). O czwartej rano Nell zaczęła rodzić, a jej matka uważnie się jej przyglądała. Kiedy poród dobiegł końca (z pomocą dwóch mężczyzn), Nell seniorka, czyli Złota Nell, bo tak ją nazywaliśmy, podeszła bliżej, przechyliła głowę i z wielką troską przyjrzała się swojej córce i wnuczce. Uznała, że obie są zdrowe, więc podeszła do drzwi obory i poprosiła, żeby ją wypuścić. Przez wszystkie noce, kiedy dotrzymywała córce towarzystwa, ani razu nie dała po sobie poznać, że interesuje ją spacer, ale teraz, skoro nie była dłużej potrzebna, uznała, że może odejść. Potem utrzymywała bardzo aktywną przyjaźń ze swoją nowo powiększoną rodziną.

Jake

Wszystkie byki w naszym stadzie były wspaniałymi, ciekawymi osobnikami. Jonathan, Ivor, Tor Down Hyadal, Olé, Mr Mini, Sam i John (identyczne bliźnięta Konstancji), Wheatrig Patriot IX, Augustus oraz Biskup Gloucester i Biskup Worcester. Ale to Jake był królem.

Jego rodowód wart jest wzmianki. Babcia Jake'a, Emily, była rudą herefordką o białej twarzy. Zachorowała, mając zaledwie kilka miesięcy. Nie wiemy czemu. Wyglądało to na zapalenie płuc z towarzyszącym mu brakiem apetytu i trudnościami z oddychaniem. Jej stan szybko się pogarszał, obawialiśmy się najgorszego. Mój ojciec zajął się nią osobiście. Opiekował się Emily z oddaniem i wiedzą, kładł się obok niej, żeby ogrzać ją własnym

ciałem. Okrywał ją sianem i czule namawiał do wyzdrowienia. Potrzebowała miesięcy, żeby odzyskać siły, ale stopniowo, ufnie, wracała do zdrowia. Wreszcie z drobnej chudziny wyrosła na krępą, silną, dorodną krowę o gęstej, a mimo to puchatej sierści.

Pierwsze ciele Emily, matka Jake'a, miało na imię Nuffield. Zaraz po narodzinach Nuffield była ciemnobrązowa z białym pyskiem i przez chwilę nazywaliśmy ją Emily II. Ku naszemu zaskoczeniu, po kilku miesiącach zaczęła linieć. Kasztanowa sierść stopniowo znikła i Emily II stała się czarna. Jej dziwne nowe imię wzięło się stąd, że kiedy producent ciągników, firma Leyland, kupił innego wytwórcę traktorów, Nuffield, przemaalował jego pomarańczowe pojazdy na kolor granatowy. Po jakimś czasie ciemna farba zaczęła odpadać i odsłaniać pierwotny pomarańczowy lakier. Skojarzyło się nam to z Emily II.

Już prawie pogodziliśmy się z tym, że Nuffield nigdy się nie ocieli. Po prostu nie chciała zająć w ciążę. Niemalże straciliśmy nadzieję, ale postanowiliśmy dać jej jeszcze jedną szansę i spróbować sztucznego zapłodnienia jednocześnie z metodą tradycyjną.

Nuffield zaszła w ciążę, ale dopiero po dziewięciu miesiącach zdaliśmy sobie sprawę z tego, że ojcami były obydwaj byki. Urodziła całkiem różne bliźnięta, Czerwoną Ruth i Czarnego Jake'a. Ruth była ruda z białą twarzą, Jake miał kruczoczarne umaszczenie. Gdybyśmy nie widzieli, jak przychodziły na świat, nikt by nas nie przekonał, że są rodzeństwem. Emily była urocza i przyjazna, a Nuffield apodyktyczna i niezależna, więc bliźnięta zostały obdarzone cudowną mieszanką obu charakterów. Były wesołe i ufne, ale kiedy było trzeba, potrafiły same o siebie zadbać. Nuffield była z nich bardzo dumna, my zresztą też.

W ciągu kolejnych miesięcy stało się jasne, że Jake i Ruth mają wyjątkowe, bardzo rzadkie cechy. Obydwoje byli niezwykle inteligentni

i umieli się odnaleźć w każdej sytuacji, a w razie potrzeby potrafili poprosić nas o pomoc. Gdy chciał zwrócić na siebie moją uwagę, Jake podchodził do mnie na polu i pociągał zębami za kurtkę.

Pierwszy cielak Ruth był jej dokładnym przeciwieństwem. Jego drobna, szczupła i delikatna budowa ciała kontrastowała z jej dorodną i silną sylwetką. Mała Ruth wymagała stałej, cierplivej opieki przez kilka miesięcy i musieliśmy namawiać jej matkę, żeby wychodziła czasem paść się na łące, bo nie chciała zostawiać córki. Szybko jednak zrozumiała, że będziemy pilnować Małej Ruth, a wtedy opracowała swój własny harmonogram pracy. Paśla się przez dwie, trzy godziny, po czym wracała do obory i pozwalała nam się wydoić, żebyśmy podali mleko w butelce jej małej. Potem znów wychodziła na dwór. (Pod tym względem jej zachowanie przypominało Grubaškę II, o której będzie mowa dalej). Z czasem Mała Ruth nabrała sił i zaczęła towarzyszyć matce. Wcześniej nauczyliśmy ją jeść siano, kosiliśmy też specjalnie dla niej różne trawy i inne rośliny zielne. Najbardziej smakowała jej rogownica źródłana, którą wytrwale dla niej zbieraliśmy.

Jake szybko stał się najważniejszym zwierzęciem na naszej farmie, choć sam tak nie uważał, bo wbrew byczej naturze nie był ani trochę zarozumiały. Wyglądał wspaniale. Był całkiem czarny, zimą miał długą, szorstką sierść, która latem stawała się bardziej jedwabista, a na czole zawsze gęste loki. Miał zgrabne, silne nogi i sympatyczne, mądre oczy. Wszyscy go kochaliśmy i podziwialiśmy. Całe stado też go uwielbiało. Traktował inne krowy z delikatnością i nigdy się nie rządził, mimo że nikt nie dorównywał mu krzepą. Nawet mały osobnik mógł go odepchnąć od kostki siana. (W każdej beli jest na ogół siedemnaście kostek siana, a każda z nich waży około dziewięciu kilogramów).

Jake nam ufał. Nigdy go nie zawiedliśmy, nie daliśmy powodu do zmartwień, był więc radosnym chłopakiem, który często rozmawiał ze swoją

matką i trzema siostrami. (Nuffield znów urodziła bliźnięta: Augustę i Octavię, identyczne jałówki, czarne z białymi twarzami jak ich matka). Postanowiliśmy zatrzymać Jake'a jako naszego buhaja. Idealnie się do tego nadawał, bo był posłuszny, dzięki czemu praca z nim była bezpieczna.

Pewnego dnia musiałam przeprowadzić go przez cały teren farmy, od jednej grupy, z którą spędził całą zimę, do innej, wypasającej się prawie kilometr dalej. Szkoda byłoby przenosić całe stado ze względu na jednego osobnika, więc delikatnie odsunęłam Jake'a od pozostałych krów i skierowałam go w stronę bramy prowadzącej do lasu. Odwrócił głowę i spojrzał na mnie pytająco. Klepnęłam go wtedy trochę mocniej i w końcu poszedł przed siebie. Ruszyliśmy więc przez ciemny las. Jake dreptał ufnie, wiedział bowiem, że nigdy nie zabrałabym go w miejsce, które by mu się nie spodobało, a ja poklepywałam go, lekko popychałam i szeptałam mu na ucho pochwały i zachęty. Dotarliśmy do ogrodzonego pola, gdzie Jake, uprzejmy jak zawsze, poczekał, aż otworzę mu bramę, po czym przeszedł ciężkim krokiem przez strumyk i błotnisty brzeg. Jeszcze raz odwrócił się do mnie z pytającym wyrazem twarzy, a ja zapewniłam go, że spodoba mu się cel naszej wędrówki, między zdaniem klepiąc go w zadek i popychając.

Nasz długi i ciekawy spacer przez farmę był miły, ale dla mnie też trochę niepokojący, bo wprawdzie Jake szedł posłusznie (powoli, momentami wręcz nieznośnie wolno), ale wiedziałam, że jeśli tylko przyjdzie mu na to ochota, odskoczy ode mnie w ułamku sekundy i zniknie mi z oczu. Wreszcie zobaczyliśmy drugą połowę stada i Jake ostatni raz spojrzał w moją stronę, dając mi do zrozumienia, że rozumie cel naszej podróży, i pobiegł do swoich nowych towarzyszy.

Jake miał jedną wadę, aczkolwiek nie było to coś, co można by określić jako typowe dla krów. Mianowicie uwielbiał wachać spaliny z rury wydechowej naszego land rovera. Z początku nie zorientowaliśmy się, co

Jake właściwie robi. Często jeździliśmy na pole samochodem wyładowanym belami siana. Co najmniej dziesięć ich mieściło się w środku, a trzy dawało się przywiązać do bagażnika na dachu. W chłodne dni zostawiałam włączony silnik, kiedy rozładowywałam siano, lawirując między łbami, rogami i racicami. Potem wsiadałam z powrotem do samochodu, odjeżdżałam kawałek i powtarzałam czynność, żeby siano było równomiernie rozłożone i mniejsze, słabsze osobniki nie musiały walczyć o pożywienie z tymi bardziej pewnymi siebie. Na nasz widok Jake podbiegał od tyłu do land rovera i z rozkoszą wdychał spaliny z rury wydechowej. Zdaliśmy sobie sprawę z tego, co nasz byk wyprawia, dopiero kiedy któregoś razu w ekstazie zaczął pocierać głową o zderzak. Zupełnie się w tym zapomniał, a samochód zakołysał się na boki. Reprimendy na nic się nie zdały i kiedy wysiadłam, żeby go powstrzymać, zobaczyłam, co robi. Potem już zawsze gasiliśmy silnik na polu, nawet w najchłodniejsze dni.

Nietypowe zachowanie wymaga śledztwa

Pierwsza Grubaśka zostawiła po sobie trwały ślad w naszym życiu. Należała do rasy Beef Shorthorn i początkowo nosiła imię Harriet, ale już w młodym wieku zrobiła się całkiem spora, więc daliśmy jej nowy przydomek. Chcieliśmy powiększyć nasze stado shorthornów i liczyliśmy, że Grubaśka urodzi nam kilka córek. Tymczasem ona wydała na świat dziewięciu synów z rzędu. Jej dziesiątym dzieckiem była piękna, kasztanowodereszowata jałówka o imieniu Bonnet, która sama dała nam jedenaścioro cieląt. Następnym potomkiem Grubaśki był karodereszowaty byk, Blue Devil. Był bardzo samolubnym, apodyktycznym bykiem, jedynym dzieckiem, którego

nie kochała. Oczywiście opiekowała się nim, ale wyraźnie jej ulżyło, kiedy pobiegł wreszcie bawić się z kolegami. Jako cielak był zwykłym byczkiem, ale gdy tylko jego charakter zaczął się kształtować, stało się jasne, że wyrośnie na niezależnego indywidualistę, trudnego i wymagającego w hodowli. Każdy z jej pierwszych dziewięciu synów był rudy i miły (dla niej, ale już nie dla nas), i miał na imię Ronnie. Dwunastym cielęciem Grubaśki była kolejna kasztanowodereszowata jałówka o imieniu Straw Béret, a na koniec urodziła jeszcze jedną jałówkę, którą nazwaliśmy Grubašką II.

Grubaška była pod wieloma względami wyjątkową krową. Wolała mężczyzn od kobiet, ale nawet za mężczyznami nie przepadała. Nigdy niczego nie potrzebowała, o nic nie prosiła. Nie chciała pomocy przy rodzeniu, nie dopraszała się o dodatkowe jedzenie. Ani razu nie zachorowała. Dopiero kiedy miała dwadzieścia lat, po raz pierwszy na coś jej się przydaliśmy.

Któregoś ciepłego letniego dnia znalazłam ją na podwórku, kiedy wszystkie inne krowy wyszły już na pole. Nietypowe zachowanie zawsze dobrze jest zbadać, więc podeszłam do niej i odkryłam, że wszystkie cztery nogi ma obwiązane drutem z ogrodzenia. W pierwszej chwili pomyślałam, że nawet w kilka osób nie uda się jej unieruchomić i zapobiec nerwowym ruchom, które spowodują zaciśnięcie się drucianych więzów. Byłam sama, bez szans na rychłą pomoc, ale ona wyraźnie prosiła mnie, żebym spróbowała coś zrobić. Schyliłam się i mówiąc do niej kojącym głosem, chwyciłam za pierwszy drut. Nie drgnął nawet jeden jej mięsień. Zaczęłam ją uwalniać, przez cały czas boleśnie świadoma tego, że Grubaška może mnie kopnąć. Tymczasem sprawiała wrażenie, jakby rozumiała, że uda mi się wykonać to trudne zadanie tylko wtedy, kiedy ona mi w tym pomoże. Stała więc nieruchomo, a ja odginałam, odkręcałam i prostowałam kolejne

fragmenty drutu. Musiałam przy tym podnosić jej nogi. Zajęło mi to sporo czasu, ale w końcu ją wyswobodziłam. Zanim poszła na pole, odwróciła się i spojrzała na mnie. Według mnie przyznała w ten sposób, aczkolwiek niechętnie, że ludzie jednak czasem na coś się przydają.

Co nieco o imionach i trochę więcej o żałobie

Rzecz jasna, wszystkie nasze zwierzęta mają imiona, a niektórym nadaliśmy przydomki. Te przezwiska czasem tak mocno dominują w naszej świadomości, że pierwotne imiona ich posiadaczy wypadają nam z głowy. Pierwszą z tej grupy była Highnoon IX, porządna krowa, która niczym szczególnym się nie wyróżniała, dopóki nie urodziła niezwykle umaszczonego, rudo-białego byczka. Chłopak, zamiast chodzić, człapał – było to coś pośredniego między zwykłym krokiem a zataczaniem się. Człapek wyrósł na pięknego byka, a do jego matki przylgnęła ksywka Pani Człapek. Jakiś rok później Pani Człapek urodziła jałówkę, Pannę Człapek, która z kolei wydała na świat bliźniaczki, Panienki Człapek. Z czasem Panna Człapek dorobiła się przydomka Babulka.

Kiedy Panienki Człapek miały prawie trzy lata, obie urodziły czerwone byczki. Dla zaznaczenia ich nowego statusu w stadzie nazwaliśmy je Pani Ogmore i Pani Pritchard, na cześć postaci z dramatu *Pod mlecznym lasem* Dylana Thomasa. Nastąpiła długa, niezbyt chłodna zima 1989 roku i mieliśmy całe stadko cieląt: Amelię, Marzyciela, Eleanor, Ninette, Horacego (syna Nell), Laureę, Edwarda... Codziennie, zależnie od pogody, wszystkie szły albo paść się na Wielkim „L” (ich ulubionym polu), albo do Topolowego Lasu. Bawiły się nad strumykiem, między młodymi jesionami i obłamanymi

gałęziami topoli albo przy obalonym drzewie z wyrwanymi z ziemi korzeniami, które szczególnie je fascynowało.

Mimo że w oborze, gdzie krowy i cielęta spędzały noce, nigdy nie brakowało pożywnego siana, wywoziliśmy też bele na pola, na których nasze zwierzęta pasły się za dnia, bo choć tam na ogół jadły trawę, to zimą ma ona ograniczone wartości odżywcze. Pewnego dnia rozrzucaliśmy siano po Wielkim „L” i ku naszemu przerażeniu znaleźliśmy martwą Panią Pritchard. Pritchard, jej trzytygodniowy syn, stał obok, zupełnie nie rozumiejąc, co się dzieje. Sekcja zwłok wykazała ropień wątroby, prawdopodobnie wywołany uderzeniem, którego doznała kilka miesięcy lub nawet kilka lat wcześniej. Teraz ropień musiał nagle pęknąć.

Przez wiele lat byliśmy świadkami tego, jak głęboka więź, emocjonalna i fizyczna, potrafi się wytworzyć między krowami i cielętami. Wiedzieliśmy, że matka przeżywa żałobę po dziecku dłużej niż cielę po zmarłej matce. W obu przypadkach możliwe jest zmniejszenie bólu po stracie. Krowa musi mieć możliwość „porozmawiania” z członkami swojej najbliższej rodziny. Pomaga też wprowadzenie do diety nowego, bardziej kuszącego pokarmu. Cielę powinno mieć również możliwość kontaktu z bliskimi. Dodatkowa uwaga z naszej strony, na przykład w formie pokarmu, pielęgnacji, a niekiedy zmiany otoczenia, czasem pozwala przyspieszyć proces zapominania. Wiele zależy od wieku cielęcia: dla różnych grup wiekowych mamy opracowane odmienne strategie przeżywania żałoby. Kiedy umarła matka Lotte, jej starsza siostra Charlotte zaopiekowała się sierotą z takim oddaniem, że mała niespodziewanie szybko zaakceptowała nową sytuację. Ale Pritchard nie miał wielu przyjaciół, choć ewidentnie był częścią stada. Młody cielak zainteresowany jest w życiu głównie jedzeniem, ale im jest starszy, tym bardziej będzie tęsknił za matką. Jednak przy odpowiedniej ilości pieśczot i pielęgnacji, zajęć i rozrywek, nawet sześciomiesięczne cielę

może zapomnieć o stracie w ciągu tygodnia, czasem nawet po trzech dniach.

Pritchardowi dotkliwiej doskwierał głód niż tęsknota, ale i tak trzeba było sporo sprytu i cierpliwości, żeby przekonać go do picia z butelki. Po trzecim karmieniu byliśmy już bliskimi przyjaciółmi, a ja widziałam oczami wyobraźni swoje najbliższe dziesięć miesięcy: ogrzewanie butelek z mlekiem, długie rozmowy i mnóstwo czesania i szczotkowania.

Postanowiliśmy zostawić Pritcharda w stadzie. Wprawdzie wiedzieliśmy, że będzie nas potrzebował, ale jednocześnie chcieliśmy, by pozostał częścią grupy. Często było już około północy, kiedy wychodziłam na pole z jego ostatnim posiłkiem: wypełnionymi mlekiem butelkami po szampanie, które dyndały mi u boków, obijając się o siebie. Pritchard ani razu nie wyszedł mi naprzeciw, zawsze stał cierpliwie, czekając, aż go znajdę. Czasem było to łatwe, czasem każdy inny czerwony byk wydawał się pod niego podszywać. Ogmore, Jack albo Horacy stali cichutko, a kiedy do nich podchodziłam i w mroku podsuwałam im mleko, stanowczo odmawiali. Mogę się domyślać, że świetnie się przy tym bawili. Bywało, że Pritchard stawał za drzewem i tam na mnie czekał. Jestem absolutnie pewna, że się nie chował. Po prostu nie miał wątpliwości, że prędzej czy później uda mi się go odnaleźć.

Kiedy miał cztery miesiące, Panna Człapek (jego babcia) urodziła drobniutką czarną Kropkę. Miała więcej mleka, niż Kropka była w stanie wypić, więc postanowiła, bez najmniejszej zachęty z naszej strony, zaadoptować Pritcharda. Naszym zdaniem jego babcia doskonale wiedziała, kim on jest. Prawdopodobnie została mu przedstawiona przez córkę, zanim ta umarła. W tamtym czasie babcia Pritcharda była „zasuszona”, więc nie miała jak pomóc, ale kiedy tylko sama się ocielila i znów zaczęła produkować mleko, przygarnęła swojego wnuczka i wychowywała go razem z Kropką. Kropka i Pritchard stali się nierozłączną parą, a Pani Człapek była dla nich obojga wspianą matką.

Jeszcze przez jakiś czas pełniłam obowiązki matki zastępczej na pół etatu i przez dwa tygodnie, dwa razy dziennie, proponowałam Pritchardowi mleko z butelki. On jednak dawał mi do zrozumienia, że nie chce już ani kropli więcej. Był jednak uzależniony od pielęgnacji i choć jego babcia codziennie go wylizywała, to i tak lubił, kiedy szczotkowałam mu sierść.

Krótką notką o śnie

Wszystkie ludzkie określenia na sen – drzemka, przycięcie komara, spoczynek, uderzenie w kimono i tym podobne – w równym stopniu dotyczą krów, owiec, kur i świń.

Jeśli zwierzęta są odprężone, czują się bezpiecznie i wiedzą, że znajdują się w otoczeniu rodziny i przyjaciół, zasypiają, często leżąc rozciągnięte na ziemi. Przyjmują przy tym najróżniejsze zabawne pozycje, w których wyglądają albo na pogrążone w błogostanie, albo martwe. Bywa, że ich sen trwa bardzo krótko, ale według nas ważne jest, by im go nie przerywać. Może zabrzmieć to nieco ekscentrycznie, jeśli powiem, że drażliwe zwierzę może się zachowywać tak, a nie inaczej, bo po prostu za mało śpi; skoro sen jest tak ważny dla prawidłowego funkcjonowania organizmu, jego brak stanowi dość oczywiste zagrożenie. Deficyt pokarmu zwierzęta potrafią same nadrobić, szukając sobie pożywienia, ale to do nas należy obowiązek zapewnienia im dogodnych warunków do dobrego snu.

Wiele naszych krów jest rogatych. Niektórym rogi rosną do dołu, innym prosto na boki, a jeszcze innym do góry, jak widły. Nie wiem, jak one to robią, ale kiedy krowy kładą się spać, zawsze znajdują sposób, żeby rogi im nie przeszkadzały.

Zdarza się, że krowa wygląda, jakby spała jak zabita, ale zdradza ją nadstawione ucho, obracające się lekko niczym antena satelitarna

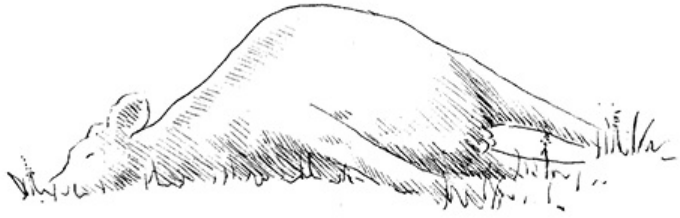
i wychwytyjące każde skrzypnięcie, każdy krok i stęk. Jeśli nie wyłowi zagrożenia, jego właścicielka może zapaść w głębszy sen, a wówczas żuchwa znieruchomieje, wąsy przestaną drżeć, a czujne oczy znikną pod grubymi powiekami. Miną dwie, trzy minuty, a radar znów przeskanuje eter. W górę, w dół i dookoła – to naturalne narzędzie przetrwania nigdy nie przestaje nasłuchiwać sygnałów zbliżającego się zagrożenia.

Jeśli krowa znajdzie się w gronie obcych zwierząt, może przysnąć na chwilę w pozycji siedzącej, z której w każdej chwili jest w stanie błyskawicznie się podnieść. Bywają też sytuacje, w których krowa, mimo ograniczonej przestrzeni, wciska się między swych bliskich znajomych albo tuż obok kogoś z rodziny. Jest jej dobrze, czuje się bezpieczna, ale nie ma miejsca, żeby się położyć. W takich przypadkach na jej twarzy maluje się zadowolenie, oczy nie są w stanie długo pozostać otwarte, powieki w końcu opadają i zwierzę zasypia niemal bezwiednie.

Jest też sporo sytuacji pośrednich. Wiele zależy od tego, czy zwierzęta stoją w oborze, czy na polu. Jeśli wieje silny wiatr, a nawet wtedy, gdy nie jest im specjalnie zimno, krowy raczej nie kładą się płasko na ziemi, ale przyjmują dziwną pozycję z podbródkiem opartym o kolana albo przekręcają głowę w tył jak gołębie. Wiele krów traktuje swoje koleżanki jak poduszki, na których można położyć głowę. Niektóre starsze zwierzęta zbierają na noc wokół siebie swoje dzieci i wnuczeta, zwłaszcza przed snem na otwartej przestrzeni.

Świnie, jeśli tylko stworzy im się wygodne warunki, zakopią się pod sianem albo po prostu padną na ziemię i zasną. Owce pod względem podejścia do snu są równie zróżnicowane jak inne zwierzęta, aczkolwiek nigdy nie widziałam, żeby jakaś owca zasnęła, leżąc plackiem na ziemi, jak to często robią krowy. Być może przyczyną tego jest to, że owce prawdopodobnie odczuwają bardzo silny lęk przed przewróceniem się na

grzbiet, z której to pozycji trudno jest im się podnieść. O ile takie zwierzę nie zostanie na czas znalezione, podobny epizod może się okazać dla niego śmiertelny. Kury, w prawdziwie ptasim stylu, często chowają na noc głowę pod skrzydło. Za dnia wyglądają czasem, jakby spały, gdy tymczasem zażywają jedynie rozkosznej kąpieli słonecznej. Rozkładają szeroko pióra, żeby wystawić na ciepło jak największą ich powierzchnię, przechylają się lekko na bok, rozciągając jedną nogę, i w tej mało wygodnej, usztywnionej pozycji potrafią się relaksować przez naprawdę długi czas.



W razie jakiegokolwiek zagrożenia nikt w królestwie zwierząt nie zaśnie. Jeśli niebezpieczeństwo jest w miarę odległe, dorosłe krowy mówią cielętom, że te mogą zasnąć, a tymczasem starszyzna będzie pełnić straż. Przynajmniej tak nam się wydaje na podstawie prowadzonych przez kilkadziesiąt lat obserwacji.

Bezpieczeństwo i stabilność, jakie gwarantuje rodzina, zapewniają rozległe korzyści. W warunkach wzmożonego stresu, wywołanego konkurencją o pożywienie, brakiem przestrzeni albo niedostatkami koryt z wodą, znacznie wzrasta prawdopodobieństwo, że zwierzę zachoruje. Logiczne jest więc, że życie w spokoju, z łatwym dostępem do pokarmu i wody, w bezpośredniej bliskości rodziny i przyjaciół, skutecznie chroni zwierzęta przed problemami zdrowotnymi.

Różne rodzaje muczenia

Spośród licznych studentów i robotników, których przez wszystkie lata zatrudnialiśmy na naszej farmie, wielu było szczególnie zainteresowanych poznaniem różnych odmian krowiego muczenia. Wystarczyło kilka lekcji i niejeden z dumą relacjonował nam przypadki, w których odpowiednia interpretacja muczenia pomogła w podjęciu właściwej decyzji. Krowy muczą z różnych powodów, a czasem nie potrzebują żadnego.

Pewnego dnia mężczyzna, który pracował u nas od niedawna, przybiegł do mnie, mówiąc, że jedna z krów bardzo głośno muczy, jakby była czymś bardzo wzburzona; poprosił, żebym poszła z nim zobaczyć, co jest nie tak. Opuszczenie kuchni w tamtym momencie skończyłoby się spalonym ciastem, więc zmusiłam go, by odnalazł w sobie nieznaną dotąd dar opisywania i dokładnie mi opowiedział, o którą krowę chodzi i jak konkretnie brzmi jej muczenie. Uznałam, że wcale nie jest roztrzęsiona, tylko wkurzyła się, że

straciła z oczu swojego cielaka. Szczegółowo mu go opisałam, dzięki czemu mężczyźnie udało się znaleźć zgubę i zaprowadzić ją do mamy.

Jak już wspomniałam, krowy muczą z różnych powodów: ze strachu, niedowierzania, gniewu, głodu i smutku. W dodatku każda krowa ma swój własny sposób zadawania pytań i albo patrzy człowiekowi w oczy, albo dziwnie, cicho muczy.

Zdarzyło się kiedyś w lutym, że zaraz po północy wyrwało mnie z głębokiego snu po ciężkim dniu muczenie krowy. Nie było w nim słychać irytacji ani nudy, głodu ani złości. Pobrmiewała w nim za to jakaś absolutna determinacja; krowa chciała nie tylko mnie obudzić, ale także prosiła, żebym wstała i wyszła z domu. Natychmiast. Nie od razu wiedziałam, że to Araminta. Zrozumiałam tylko tyle, że muszę się pośpieszyć, bo po pierwsze, ktoś mnie potrzebuje, a po drugie – zaraz wszyscy się obudzą.

Chwyciłam szlafrok i po omacku zbiegłam po schodach. Dotarłam do piwnicy, gdzie włożyłam kalosze (nie było czasu na szukanie skarpetek), zdałam sobie sprawę, że pada, wróciłam po płaszcz, wybiegłam na dwór i zaczęłam go zapinać, na oślep szukając drogi przez krzaki. Krowa wciąż muczała. Ważniejsze było dla mnie jak najszybsze uciszenie wołania zwierzęcia niż komfort, jaki dałaby mi latarka, więc na oślep kierowałam się w stronę, z której dobiegał dźwięk. W oborze panowały egipskie ciemności. Mówiłam jakieś kojące słowa i po dotyku zorientowałam się, z kim mam do czynienia. Wyczułam też, że ma wymiona pełne mleka. Wyprowadziłam ją na zewnątrz. Miałam nadzieję, że gdy tylko ciśnienie w wymionach zelżeje, Araminta przestanie rozpaczać. W drodze na wybieg domyśliłam się, że jej syn Don (imię dostał na cześć krykiecisty sir Donalda Bradmana) jest albo chory, albo martwy, skoro przez cały dzień nikt nie wypił jej mleka. Wiedziałam też, że jej przeszywający płacz nie tylko miał mi zakomunikować jej dyskomfort, ale że muczeniem prosiła mnie o pomoc,

której sama nie była w stanie udzielić swojemu dziecku.

Kiedy już ją nakarmiłam i wydoiłam, wzięłam do ręki latarkę i wyjaśniłam, że teraz musi mi pokazać, gdzie się podziewa jej syn. Krowy potrafią docenić naszą inteligencję, ale nierzadko popełniają przy tym błąd, sądząc, że wiemy wszystko. Dlatego gdy otworzyłam drzwi zagrody i wyprowadziłam Aramintę na zewnątrz, przez chwilę stała bez ruchu. Bałam się, że znów zacznie muczeć, żeby skłonić mnie, bym poszła szukać Dona, więc popchnęłam ją stanowczo do przodu, jakbym wiedziała, dokąd iść. Ufnie wykonała moje polecenie. Po pięćdziesięciu metrach stanęłam. Ona też. Delikatnie ją zawróciłam i szturchnęłam w zadek na znak, że wracamy do domu. Momentalnie zrozumiała, że nie mam pojęcia, gdzie szukać jej syna. Znów się odwróciła i ruszyła w tym samym kierunku co wcześniej, ale dwa razy szybciej. Poszłam za nią.

Znalazłyśmy Dona trzy pola dalej. Stał na nogach, ale wyraźnie się nad sobą użalał. Był mocno wzdęty, a w takich przypadkach zgon może nastąpić nagle. Nie bardzo chciał się ruszyć, ale zmusiłam go, żeby wrócił do domu z mamą u boku. Kiedy dotarliśmy na podwórko, zamknęłam go w poskromie, żeby nie uciekł, i poszłam po długą gumową rurkę, którą mamy specjalnie na takie okoliczności. Lewą ręką otworzyłam mu pysk, a prawą powoli wprowadziłam przewód przez przelyk do żołądka. Potem jedną ręką trzymałam jej koniec, a drugą gładziłam Dona po brzuchu, aż zebrane powietrze w końcu się uwolniło.

Wprawdzie tamtej nocy mu pomogłam, a on do rana bawił się w sianie ze swoją starą, mądrą matką, ale problem się powtarzał. Za zgodą weterynarza przeprowadzałam jeszcze kilka razy podobny zabieg, wreszcie jednak konieczne okazało się przeprowadzenie operacji. Don wrócił do zdrowia, ale dopiero po dwóch miesiącach. Co dziwne, przez cały ten czas nie opuszczał go dobry humor. Gdy odczuwał silny ból, przestawał jeść i pić, ale nie

zdradzał objawów stresu, nie był też smutny. Kilka minut po każdej interwencji znów jadł i pił jak gdyby nigdy nic.

Krowy podejmują dobre decyzje

Jak już wspominałam, pierwsza córka Grubaśki miała na imię Bonnet i wydała na świat jedenaścioro cieląt, wśród których były takie pamiętne osobistości jak Roan Bonnet, Mała Bonnet, Peter Bonneti czy Gold Bonnet. Pierwszemu cielakowi Roan Bonnet daliśmy na imię Biskup Durham. Z jakiegoś powodu Roan nie traktowała macierzyństwa zbyt serio i wprawdzie wypełniała podstawowe obowiązki matki: karmiła Biskupa, pielęgnowała go i spędzała z nim czas, ale robiła to na pół gwizdka; zdecydowanie nie była nadopiekuńcza i produkowała niewielkie ilości mleka.

Pod względem psychicznym Durham był zwierzęciem w pełni zrównoważonym, ale fizycznie nieco odstawał: był raczej drobny i rósł powoli, uznaliśmy więc, że potrzeba mu więcej pokarmu. Ponieważ była już późna jesień i brakowało pełnowartościowej trawy, raz dziennie dawaliśmy mu karmę z uprawianego przez nas jęczmienia i zapewnialiśmy dwie godziny spokoju z dala od innych krów, żeby mógł nie niepokojony najeść się sianem. Bardzo szybko nauczył się odróżniać nie tylko mężczyzn od kobiet, ale też rozróżniać mężczyzn o podobnej budowie ciała. Nigdy jednego dnia nie poprosił dwa razy tej samej osoby o jedzenie, ale jeśli zbliżył się do niego ktoś inny, ze wszystkich sił starał się pokazać, że jeszcze nie był tego dnia karmiony. Podstęp ten dość często mu się udawał. Po Biskupie Roan Bonnet urodziła Hrabiego Warwick, a potem Księcia Lancaster, o którym jeszcze opowiem (zob. strona 76).

Lata hodowli nauczyły nas, że jeśli tylko zapewni się krowom odpowiednie warunki życia, same nauczą się podejmować słuszne decyzje.

Muszą mieć schronienie, stały dostęp do świeżej wody i dobrego pokarmu, spokój i stabilność. Jeśli prognozy mówią o deszczu, ale nasze krowy nie chcą schodzić z odkrytych pastwisk nawet zimą albo kiedy w środku czerwca podchodzą do drzwi obory i proszą, żeby je wpuścić, zawsze im ustępujemy. Któregoś czerwcowego wieczora wróciły wszystkie pod dach tuż przed ulewą, która nas zupełnie zaskoczyła. Kilka godzin później, o wpół do pierwszej w nocy, deszcz ustał i krowy postanowiły, że muszą wrócić na pastwisko. Oznajmiły swoje życzenie na tyle głośno, że pobudziły ludzi we wszystkich okolicznych wioskach. Posłusznie i pośpiesznie wstaliśmy, żeby zaprowadzić je na pole. Po drodze nasz pochód zatrzymał zdziwiony policjant. Kusilo nas, by mu powiedzieć, że zabraliśmy krowy na ich tradycyjny wieczorny spacer.

Mówiłam już, jak ważny jest dla zwierząt stały dostęp do bezpiecznego schronienia. Może im je zapewnić drzewo, skarpa, ściana czy obora, ale najlepszy i najwszechstronniejszy jest żywopłot.

Wielu pisarzy, dawnych i współczesnych, opisywało zalety żywopłotu. Każdy stary krzak opowiada własną historię, zwłaszcza że po jego pokroju można ocenić, kiedy został posadzony. Łatwo też wydedukować, dlaczego rośnie w tym, a nie innym miejscu.

Nie do opisania jest szaleństwo masowego wycinania żywopłotów. Destrukcja wielu tysięcy kilometrów tych naturalnych barier poskutkowała nie tylko wizualnym ubytkiem. Zniknęły też róże o bursztynowych, białych i różowych płatkach, które w maju i czerwcu opadały kaskadami z najwyższych gałęzi, później zastępowane wielobarwnymi owocami. Niezliczone gatunki zwierząt wiodą swoje życie w tych „linijkach wybudowanego krzewia”⁸, jak je opisywał Wordsworth. Ptaki budują w nich piętrowe noclegownie i gniazda, nie mówiąc o spizarniach ratujących im życie zimą. Z odpowiednio starych krzewów zerwiemy owoce dzikiej róży

i dzikiego bzu, śliwki i jabłka, owoce głogu i taminy, orzechy, żołądzie, skrzydlaki jesionu i jagody wiciokrzewu. Bojaźliwe stworzonka znajdują w nich bezpieczne schronienie, chowając się w ciasnej plątaniu gałązek niedostępnej dla borsuków. Króliki, norniki i popielice też z łatwością się w nich ukryją, a i ptaki budujące gniazda na ziemi mają tutaj większe szanse na przeżycie.

Na naszej farmie rosną dwa rzędy żywopłotu po obu stronach szerokiej na trzy metry drogi. Kiedy się tu sprowadziliśmy, były już grube i mocne, miały jakieś trzy i pół metra wysokości. Dzisiaj, ponad trzydzieści lat później, są wysokie nawet na dwanaście metrów i tworzą nad drogą sklepienie zapewniające krowom komfort podobny do tego, który znają z obory. Wszystkie wiedzą, gdzie się ta „obora” znajduje, i chętnie z niej korzystają – zimą, żeby schronić się przed chłodem, a latem dla wytchnienia od promieni słonecznych.

Radzenie sobie w deszczu jest stałym elementem krowiej edukacji, ale nie każdej krowie udaje się w pełni opanować tę umiejętność. Dorosłe zwierzęta potrafią znieść niesamowite ilości deszczu, wręcz wydaje się czasem, że go w ogóle nie zauważają. W mieszanym stadzie z młodymi cielakami mniej doświadczone matki nie zawsze zdają sobie sprawę, że ich małe potrzebują większej ochrony niż one same, ale te starsze i mądrzejsze zawsze o tym pamiętają i zabierają potomstwo do obory albo szukają osłoniętego miejsca pod drzewem czy żywopłotem.

Niektóre dojrzałe owce, chronione przed niepogodą przez grubą warstwę wełny, lubią chłodny wiatr i czasami wyszukują na farmie najwyższe wzniesienie albo otwartą przestrzeń, żeby nacieszyć się smagającymi je powiewami, ale długiego deszczu nie znoszą. Kiedy mają przy sobie małe, wiedzą, że należy baczniej się nimi opiekować. W pierwszych tygodniach życia jagnięta są jeszcze bardzo słabe i choć większość dobrze sobie radzi

z zimnem i wilgocią, to wykorzystuje do tego przeważającą część energii uzyskanej z mleka matki. Zapewnienie im dachu nad głową jest zatem pożądane tak z finansowych, jak i etycznych względów.

Z naszych obserwacji wynika, że jagnięta na ogół jeszcze lepiej od cieląt potrafią wyszukiwać miejsca nadające się na schronienie. Nawet bardzo młode zwierzęta potrafią wyściełać sianem podłogę dowolnej, choćby prowizorycznej kwatery, a jeśli nie znajdą dobrego materiału, będą kombinowały dopóty, dopóki nie wymyślą innego sposobu na poprawienie swoich warunków mieszkaniowych. Mogą wdrapać się na pień albo kłodę, wejść do dziupli albo wspiąć się na grzbiet mamy, gdzie będzie im wygodniej i bardziej sucho niż na ziemi.

Kolejnym procesem decyzyjnym, jaki nieustannie zachodzi w głowach zwierząt, jest wybór pokarmu. Skubią i wyszukują najróżniejsze trawy, zioła, kwiaty, krzewy i liście drzew, z których pobierają życiodajne składniki w ilościach, jakie uznają za odpowiednie. My sami nie umielibyśmy podjąć za nich tak skomplikowanych decyzji.

Wszystkie zwierzęta są odrębnymi jednostkami. Wybór paszy dla całego stada może być korzystny dla większości osobników, ale my zawsze mieliśmy na uwadze dobro mniejszości. Kiedy zwierzęta same podejmują decyzje o tym, co mają jeść, okazuje się, że są one trafne, a żywienie stada jest nie tylko efektywniejsze, ale też... tańsze. Na naszej farmie widywaliśmy krowy i owce posilające się najdziwniejszymi roślinami, i to w ogromnych ilościach. Krowy zjadają całe metry sześciennie ciemnozielonych, groźnie wyglądających pokrzyw, a owce często wybierają ostro zakończone pędy ostu albo długi, twardy szczaw, zwłaszcza po porodzie, kiedy mają mało energii. I wszystko to pomimo stałego dostępu do pożywnej, świeżej trawy.

Nigdy nie widziałam, żeby owca wzięła sobie wolne w pracy, za to krowy po porodzie często przestają jeść na dzień albo dwa. Z mojego doświadczenia

wynika, że świeżo upieczone owcze matki jedzą szybciej i są bardziej skupione na posiłku niż przed porodem. Być może wiedzą, że muszą wyprodukować dość mleka, żeby zaspokoić nieposkromiony apetyt swojego potomstwa. Niektóre krowy, które rodzą drobne cielęta, wyczuwają, że ich zapas mleka jest wystarczający i pierwszych parę dni mogą spędzić pod drzewem z noworodkiem, wypoczywając. Wieczorami skubną trochę trawy, ale znacznie mniej niż na co dzień.

Jednym z naszych najbardziej pozytywnych odkryć było to, że zwierzęta, które doznały kontuzji, lubią jeść liście wierzby, i to w dużych ilościach. Według nas może to mieć związek z aspiryną⁹. Jeśli w pobliżu nie rośnie żadna wierzba, przynosimy potrzebującym obcięte gałęzie. Jedzą je wszystkie, bez wyjątku, czasem przez kilka dni z rzędu. Kiedy uznają, że nie są im dłużej potrzebne, po prostu odchodzą.

Desdemona II, wnuczka Dizzy (albo Czarno-Białej Desdemony, jak ją nazywaliśmy), nie chciała jeść niczego poza trawą. Nie było to problemem w lecie, kiedy się urodziła, ani jesienią czy na wiosnę, lecz zimą, nawet w najmroźniejsze dni, kiedy wszystkie inne krowy nie wystawiały łbów poza oborę, Desdemona II podchodziła do bramy i patrzyła w dal, dopóki się nie zorientowaliśmy, o co jej chodzi, i nie otworzyliśmy wrót. Puszczona luzem, szła jakiś kilometr dalej i cały dzień pasła się w samotności, choć raz na jakiś czas przechodziła obok owiec, które też wolą stać na dworze bez względu na pogodę. Po prostu ani siano, ani słoma, ani jęczmień czy jabłka nie chciały przejść jej przez gardło. Życzyła sobie jeść tylko trawę. Na takiej paszy nie mogła utyć przez zimę, ale była bardzo zadowolona i codziennie późnym popołudniem wracała statecznym krokiem do domu i prosiła, żeby ją wpuścić, bo noc wolała jednak spędzić w towarzystwie matki, siostry, babci i kuzynów. Do czasu swojej drugiej zimy nauczyła się jeść siano, ale nadal wolała trawę i większość każdego dnia spędzała na pastwisku, nie bacząc na

pogodę.

Bardzo młode cielęta, kiedy zachorują, „nie wstają z łóżka”. Nawet jeśli ich matki wychodzą na pastwisko i zawołają małe, żeby do nich dołączyły, te nie ruszą się z miejsca. Ich matki muszą wtedy do nich wracać w regularnych odstępach czasu. Jednym z najzaradniejszych cielaków na naszej farmie był Krewki Milton.

Matka Krewkiego była niedoświadczona i zabrała go na pole któregoś grudniowego ranka. Ale on zdecydował, że dużo przyjemniej będzie mu w ciepłej oborze. To nic, że miał dopiero sześć dni. Zostawił swoją matkę i resztę stada i wyruszył w liczącą prawie osiemset metrów podróż powrotną. Na szczęście zobaczyliśmy, jak schodzi ze wzgórza, i udało nam się go umieścić w bezpiecznym, dobrze nagrzanym miejscu. Nabawił się przeziębienia i biegunki, więc trzeba go było nawodnić i otoczyć opieką. Właśnie wtedy upodobał sobie zabiegi pielęgnacyjne i potem nie było mowy, żeby poszedł spać z zabłoconymi nogami.

Krowie przyjaźnie nigdy nie są przypadkowe

Już wśród najmłodszych cieląt bardzo częste, wręcz normalne, jest nawiązywanie niezwykle silnych więzi, które trwają latami. Bywa, że trzy cielaki urodzone mniej więcej w tym samym czasie tworzą grupę, choć częściej obserwujemy przyjaźnie między dwojgiem młodych i zwykle są to cielaki najbardziej zbliżone do siebie wiekiem. Jedną z takich par są wspomniani wcześniej White Boys.

Nell urodziła pierwsza, wydając na świat byczka o niemal oślepiająco białym umaszczeniu. Juliet poszła jej śladem następnego dnia i urodziła

identyczne cielę. Nigdy wcześniej nie mieliśmy tak białych byków. Szare, kremowe, płowe, białawe, szarawe, złote – owszem, ale nieskazitelnie białe urodziły się po raz pierwszy. Starszy podszedł do nowo narodzonego i patrzył na niego, jakby przeglądał się w lustrze. Od tego momentu byli nierozłącznymi przyjaciółmi. Ich matki, które stały się drugorzędne w życiu małych byczków, też się zaprzyjaźniły, zmuszone do przebywania razem i karmienia na zawołanie. Nell i Juliet miały też swoje przyjaciółki z dzieciństwa, ale okoliczności narzuciły im nową znajomość. Rok później, kiedy obie znów się ocieliły, chłopaki w ogóle się nie przejęły i nie okazały nawet odrobiny zazdrości. Młodzieńcy mieli siebie nawzajem i nawet nie zauważali, kiedy zostawali sami, bo ich matki wychodziły na leżące bliżej domu pastwisko dla cieląt. Nell i Juliet pozostały przyjaciółkami, ale tym razem wychowywały dość pospolite młode: jedno czerwone, drugie białawe.

White Boys mieli swój świat, zanurzony w samym środku większego stada, a zarazem pozostający trochę na uboczu. Chodzili bark w bark, często na siebie wpadając, i spali każdy z głową opartą o grzbiet drugiego. Byli wspaniali – wysocy, delikatni, niezależni, serdeczni (choć nieprzesadnie słodcy) i szlachetni. Jeden miał różowy nos, drugi szary.

Mniej rzucająca się w oczy, ale równie silna przyjaźń zawiązała się sześć lat wcześniej między Czarno-Białą Charlotte (córką Charlotte Charolais) a Guyem (synem Dizzy). Ona była cała czarna, a on matowoszary, ale oboje mieli białe ogony. Guy należał do rodu Discount, Charlotte pochodziła z linii Highnoon.

Krowie przyjaźnie rzadko kiedy są przypadkowe. Oddanie jest tu normą, aczkolwiek polega głównie na niesieniu pomocy w kwestiach praktycznych. Krowy rzadko kiedy bywają nadopiekuńcze i raczej nie okazują przesadnie swoich emocji.

Charlotte i Guy błyskawicznie się polubili, ale oboje mieli też innych

znajomych. Ilekroć się rozstawali, bo ich matki szły na inne pastwiska, nie tęsknili za sobą, a przynajmniej nie było po nich widać smutku, ale zawsze radośnie się witali, kiedy rozłączone stada znów się spotykały. (Pamiętam, że Anne i Helen przywitały się pocałunkiem po nieplanowanej tygodniowej rozłące, kiedy obie miały po trzy miesiące). Ich przyjaźń osłabła po śmierci matki Charlotte, która teraz musiała się zaopiekować swoją młodszą siostrą, Lotte. Lotte była jej drobniejszą wersją, czarną z białym ogonem, ale miała rogi, które Charlotte naturalnie zgubiła. Starsza siostra otoczyła cielaka taką troską, że mała przeszła żałobę prawie bez śladu. Kiedy Charlotte sama się ocielila, Lotte okazała się nieocenioną ciocią dla jej dziecka.

Jednak Charlotte nie odnalazła w sobie instynktu macierzyńskiego. Jej urocza czarna córka, urodzona w idy marcowe i nazwana Kalpurnią na cześć żony Cezara (a następnie obdarzona ksywką Koko), nie została dopuszczona do wymion. Jej matka oznajmiła wszem wobec, że karmieniem maleństwa może się zająć niania. „Nianią” by mój brat, który cierpliwie skrępował Charlotte postronkiem i namówił ją, żeby stała bez ruchu i pozwoliła Koko pić. Kopniaki rozgniewanej matki brał na własne pizczcele, chroniąc cielaka.

Koko kochała swoją mamę (żaden z matczynych kopniaków jej nie dosięgnął, co znacznie ułatwiło im nawiązanie relacji). Trzy razy dziennie ssała jej mleko, wszyscy ją kochaliśmy i głaskaliśmy, Lotte też była dla niej miła. Jej życie wyglądało wspaniale. Musiała widocznie uznać, że matki dają mleko, kiedy się je do tego zmusza, a ludzie są od okazywania uczuć i roztaczania opieki.

Charlotte nie odrzucała uczuć swojej córki, ona po prostu ich nie zauważała. Koko wtykała nos pod jej podbródek i co jakiś czas, dla zabawy, lekko ją szturchała. Charlotte tylko patrzyła w dal. Zawsze pały się i spały bardzo blisko siebie, ale nie miało to dla Charlotte żadnego znaczenia.

Koko była pięknnością i najbardziej lubianą krową w całym stadzie. Sama

też wszystkich kochała i lubiła być w centrum uwagi. Nawet ludzie, którzy dla nas pracowali, w tamtych czasach raczej powściągliwi w okazywaniu uczuć, zawsze przy niej przystawali, żeby ją pogłaskać, choćby byli nie wiadomo jak bardzo zajęci.

Kiedy Koko miała trochę ponad dwa miesiące, wszystko się zmieniło. Zaryzykowała napicie się mleka pod naszą nieobecność. Charlotte pierwszy raz ją zauważyła i widocznie z miejsca się w niej zakochała, bo dała nam wyraźnie do zrozumienia, że od tego dnia bierze na siebie całą odpowiedzialność za swoją cudowną córkę. Potem już sama ją pielęgnowała i karmiła.

Ich przyjaźń była dla nas szczególnie interesująca, bo Koko tak bardzo przywykła do obecności ludzi, że mogliśmy je obie obserwować z bliska, nie zaburzając ich spokoju.

Kiedy piętnaście miesięcy później Charlotte urodziła byczka Cassio, Koko pomagała w jego wychowaniu. Stała nad nim i chroniła go przed ciekawskimi krowami. Ilekroć zaszła taka potrzeba, pełniła rolę opiekunki swojego braciszka. Nawet gdy Cassio już wydorósł, a w centrum uwagi znalazł się cielak numer trzy, Carline, Koko i Cassio pozostali ze sobą blisko związani i często byliśmy świadkami, jak dzielą się kostką siana. Charlotte nie zapomniała, jak być dobrą matką. Wręcz stała się jedną z najlepszych.

Ale byki to zupełnie inna para kaloszy

Wprawdzie życie z krowami jest zawsze ciekawym, ubogającym doświadczeniem, ale z bykami sprawy mają się zupełnie inaczej.

Jakiś czas temu mieliśmy trzy byki w mniej więcej tym samym wieku: Biskupa Gloucester rasy Welsh Black, lincoln reda, którego nazywaliśmy Biskupem Worcester, i Augustusa rasy Charolais. Któregoś razu musieliśmy

odseparować Glouceстера i umieścić go w stadzie krów niedaleko domu. Tymczasem Worcester i Augustus świetnie się ze sobą dogadywali. Myślę, że się lubili, a w każdym razie nigdy nie wdawali się w bójki. Augustus uważał się za lepszego, a Worcester przymykał oko na niektóre z jego aroganckich zachowań. Po kilku miesiącach rozłąki doszło do nieprzyjemnego incydentu.

W pracach na farmie pomagał nam wtedy pewien student. Miał duży zakres obowiązków i został wyraźnie pouczony, by nie otwierać bramy, za którą wypasał się Gloucester, któremu nie wolno było wychodzić z zagrody. Jakiś czas później chłopak przybiegł do domu i ciężko dysząc, powiedział, że na chwilę zostawił bramę otwartą, bo sądził, że nic się nie stanie, ale Gloucester błyskawicznie wykorzystał okazję do ucieczki. Już raz coś takiego się zdarzyło, kiedy znajomy aktor zaoferował nam pomoc i ruszył pieszo w poszukiwaniu zbiegłego bydła, ale skończył z twarzą w głębokim błocie (stąd się wziął kategoryczny nakaz zamykania bramy). Wybiegłam z domu w klapkach, przez ramię krzycząc do studenta, żeby znalazł mojego brata i żeby obaj ruszyli za mną.

Wiedziałam, że tym razem sytuacja jest poważniejsza, i domyślałam się, dokąd pobiegł Gloucester. Przez cały ranek po farmie niosły się niskie, pełne znudzenia i niezadowolenia porykiwania Augustusa. Gloucester oczywiście też go słyszał, więc zszedł stromą ścieżką w kierunku zagrody swojego kumpla. Wskoczyłam do land rovera i popędziłam przez farmę szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Samochód podskakiwał na wybojach, trząsł się na wszystkie strony, ale nawet nie dopuszczałam do siebie myśli, że mógłby utknąć na moście z drewnianych belek. Wreszcie dojechałam do lasu i zatrzymałam się przy bramie zagrody dosłownie kilka sekund wcześniej, nim przygalopował tam Gloucester.

Augustus kopał w ziemię po swojej stronie płotu, a Gloucester bił

raciami po drugiej. Worcester naśladował ruchy Augustusa, ale bez przekonania.

W przypadku równowagi sił byki potrafią walczyć cały dzień i całą noc, aż do całkowitego wyczerpania. Nie dochodzi między nimi do żadnych utarczek, jeśli dojrzewają razem jako rówieśnicy albo kiedy młody byk poznaje starszego na bardzo wczesnym etapie swojego życia i obaj spędzają ze sobą dużo czasu. Ale jeśli dwa byki zostaną odseparowane, a potem znów się spotkają, ziemia drży i można je rozdzielić wyłącznie za pomocą naboju usypiających.

Wiedziałam, że nie mogę dopuścić, by byki się ze sobą zetknęły. Czekaając na nadejście posiłków, chodziłam wzdłuż ogrodzenia, warczałam, kiedy oni warczeli, i chwaliłam, kiedy tylko się od siebie oddalali. Nigdy w życiu nie byłam tak zdeterminowana, ale konsekwencje porażki byłyby nie do zniesienia.

Mój brat i młody student zjawili się po pięciu minutach (które dla mnie trwały pięć lat) i zaczęliśmy misję odprowadzenia Glouceстера do domu. Z bagażnika land rovera wyjęliśmy trochę siana, którym odwróciliśmy uwagę Augustusa. Potem cała nasza trójka zaczęła zaganiać Glouceстера żelazną siłą woli, liśćmi jesionu i niewiarygodnie pomysłowymi okrzykami. Zaganianie bydła jest sztuką samą w sobie, wartą głębszego omówienia; w większym stopniu zależy od psychologii niż siły fizycznej.

Gloucester dreptał przed siebie, nieco zaskoczony i przytłoczony naszą stanowczością, ale po jakichś pięćdziesięciu metrach podjął imponującą próbę kolejnej szarży. Był niezwykle podniecony, bardzo silny i szybki. Tylko nasza odważna, brawurowa reakcja zdołała go powstrzymać i pokonaliśmy kolejnych kilkadziesiąt metrów. Nie przestawaliśmy do niego mówić. Karciliśmy go i groziliśmy, że za nieposłuszeństwo zapłaci głową. Nie wierzył w ani jedno słowo, ale stopniowo, krok za krokiem udało nam się

doprowadzić go do domu, choć po drodze zatrzymywał się i ruszał, galopował i stawał w miejscu, wściekle parskął, to znów próbował wzbudzić litość. Na koniec ledwo mogliśmy ustać na nogach. Wszystkie siły, fizyczne i mentalne, wykorzystaliśmy do cna. Gloucester bez trudu mógłby nam uciec, tak bardzo górował nad nami szybkością i sprytem, ale być może powstrzymywała go przed tym wrodzona ufność do nas, połączona z naszymi dziwacznymi gestami, którymi bez przerwy próbowaliśmy przykuć jego uwagę. W domu wreszcie się odprężyliśmy, wybuchaliśmy gromkim śmiechem i padliśmy na ziemię, przejęci i zmartwieni, ale przepełnieni poczuciem tryumfu. Krótkonogi Gloucester nagle przeskoczył bez trudu bramę z pięciu belek i znów pobiegł w stronę lasu. Druga brama była na szczęście zamknięta i to spowolniło go na tyle, że zdołaliśmy jeszcze raz go złapać.

Trzy byki już nigdy się nie spotkały. Gloucester miał swoje stado, a pozostałe dwa swoje. Zapanowała czujność i wróciła harmonia.

Kiedy piszę te słowa, jest ciągle marzec i wprawdzie wiosna wyściubiła już nos, wszędzie widać pierwiosnki, gdzieś tam pojawiły się zawilce, w kilku miejscach fiołki, a w jednym przebiśniegi, ale nocą nadal robi się zimno, więc muszę odłożyć pióro i iść w najdalszy róg Wiśniowego Pola, pilnowanego przez niewidoczne, lecz pohukujące puszczyki, by się upewnić, że najmłodsze cielę na naszej farmie znalazło wygodne i osłonięte miejsce do snu.

Grubaśka II

Wszystkie zwierzęta są wyjątkowymi jednostkami. Niektóre nie kryją się ze swoją osobowością, inne idą przez życie, nie zwracając na siebie większej uwagi. Im lepiej znamy dane zwierzę, tym większy będzie miało z nas

pożytek. Wiedząc, jak reaguje w takich czy innych okolicznościach, możemy się odpowiednio przygotować. Znając sposób, w jaki komunikuje swoje potrzeby, trafniej zinterpretujemy nietypowe zachowania. Będziemy też wiedzieli, których członków stada najlepiej zostawić samym sobie.

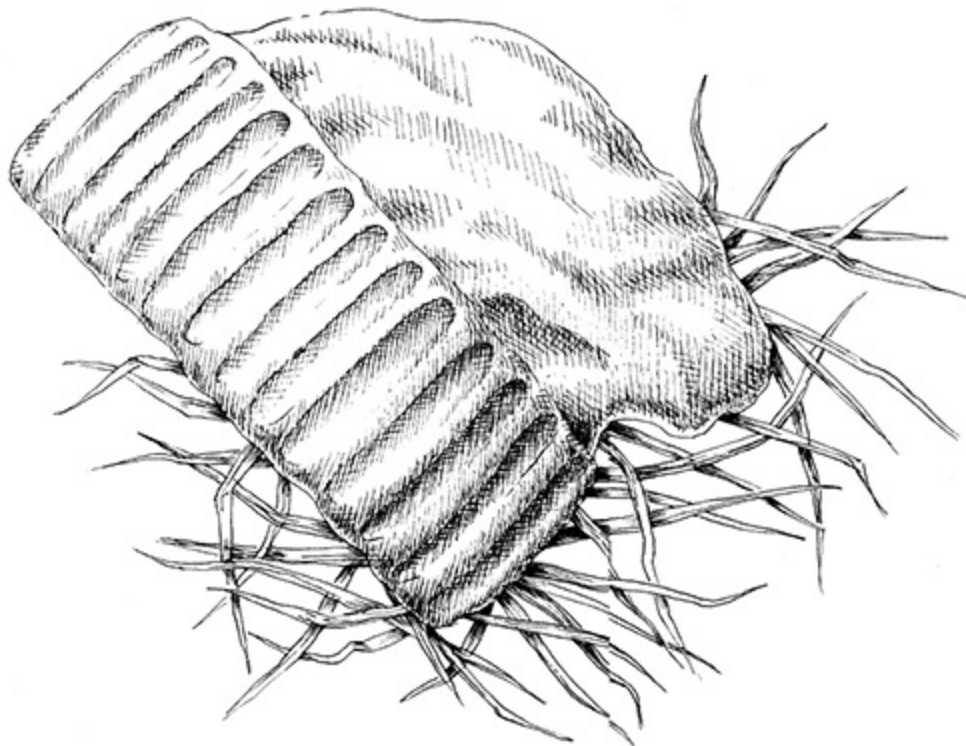
Poczynione przez nas obserwacje dość często nie przekładają się w najmniejszym stopniu na codzienne życie naszych zwierząt. Jest bardzo prawdopodobne, że dużo ciekawsze i ważniejsze rzeczy dzieją się, kiedy ich nie podglądamy. Jednak dzięki naszej wiedzy mamy większą świadomość ich inteligencji i jesteśmy w stanie przewidywać wydarzenia, i co za tym idzie, możemy ograniczyć cierpienia, a czasem nawet uratować życie któremuś z naszych podopiecznych.

Kiedy Grubaśka II cielila się po raz drugi, jej filozoficzna, serdeczna, delikatna, inteligentna i ufna natura została poddana próbie i wręcz przeszła tymczasową przemianę.

Jej pierwszy cielak, Książę Yorku, był prostym, tęgim chłopakiem o niewielu wyróżniających cechach, jeśli nie liczyć krótkich nóg odziedziczonych po matce i sposobu, w jaki pił wodę – sącył ją powoli jak kot. To dziwne zachowanie zaobserwowaliśmy wcześniej tylko raz: Print, pełnokrwista krowa rasy Ayrshire, zawsze potrzebowała dziesięciu minut więcej niż inne krowy, żeby wypić swój dzienny przydział, bo też nie lubiła się śpieszyć.

Print, pod każdym innym względem zupełnie zwyczajna matka dwóch młodych byczków o imionach Victor i Feather, pałała żywą niechęcią do małej wełnianej czapki, którą nosił jeden z naszych pracowników. Podchodziła do niego z przyjaznym nastawieniem, pozwalała mu się głaskać, ale gdy tylko dostrzegła swoją szansę, umiejętnie ściągała mu czapkę z głowy zębami i upuszczała ją na siano. Ilekroć nakrycie głowy wracało na swoje miejsce, ona cierpliwie powtarzała swój manewr i nie wyglądało na to,

by miało się jej to znudzić. Mężczyzna uparcie odmawiał zmiany czapki, a Print nigdy nie zdejmowała żadnej innej.



Kiedy Grubaśka II była bliska urodzenia swojego drugiego cielaka, z niewyjaśnionych przyczyn oddaliła się niepostrzeżenie do lasu. Kilka godzin później odwiedziliśmy ją na polu i znów pasła się tam, gdzie zwykle. Mało brakowało, a w ogóle byśmy się nie zorientowali, że urodziła, bo wyglądała dobrze i wcale nie miała mniejszego brzucha. Jednak podejrzewaliśmy, że zaszła w niej jakaś zmiana. Namawialiśmy ją, żeby nam powiedziała, czy już się ocielila, a jeśli tak, to gdzie zostawiła małe, lecz ona udawała, że nie rozumie. Próbowaliśmy różnych metod, które doskonale działały na inne krowy, ale Grubaśka II była dziwnie zrezygnowana, zamknięta w sobie, niechętna do kontaktu. Przyprawiliśmy ją do domu, żeby ją zbadać, i kiedy okazało się, że faktycznie urodziła, stało się jasne, że musi nam powiedzieć więcej. Poszliśmy z nią z powrotem na pole

i próbowaliśmy nakłonić, żeby odtworzyła pokonaną przez siebie trasę. Chodziliśmy w tę i we w tę, dookoła pastwiska i przez las, z każdą chwilą coraz bardziej zaniepokojeni. Zaczęliśmy podejrzewać, że cielak już zdechł, a Grubaśka II pogodziła się ze stratą, ale musieliśmy się upewnić. Ona, niestety, zupełnie nie chciała nam pomóc w poszukiwaniach. Wezwaliśmy więcej osób i zabraliśmy się do systematycznego przeczesywania lasu (sześćdziesiąt akrów pagórkowatego terenu). Kiedy w końcu znaleźliśmy cielę, biedaczysko zdążyło już zapaść w półśpiączkę. Mała była wyziębiona, mokra i głodna. Grubaśka II pewnie długo jej szukała i w końcu straciła nadzieję. Ocieliła się na stromym zboczu w głębi lasu i jej dziecko musiało się ześliznąć w niedostępne dla niej miejsce.

Przez cały czas naszych poszukiwań Grubaśka II kręciła się nieopodal i kiedy zobaczyła, że trafiliśmy na właściwy trop, podeszła bliżej. Podnieśliśmy jej maleństwo z ziemi i zanieśliśmy je do domu. Ona szła tuż za nami, głęboko poruszona. Cieszyła się z odnalezienia cielaka, ale nie rozumiała, dlaczego nie była w stanie wypełnić swojej matczynej roli. Cielak był zbyt słaby, żeby stać o własnych siłach i ssać jej wymiona, więc matka obserwowała z boku, jak my ogrzewamy, karmimy i pielęgnujemy jej córkę. Była jak dublerka, która zna swoje kwestie, ale nie gra w głównym spektaklu. Doiliśmy ją i podawaliśmy mleko cielęciu w bardzo małych porcjach, ale często. Momentami Grubaśka II okazywała troskę i miłość, to znowu udawała obojętność, ale przez cały czas biła od niej wdzięczność pomieszana ze zdziwieniem.

Gdyby Czarnula, jak nazwaliśmy córkę Grubaśki II, była ludzkim niemowlęciem, zapewne byłaby krucha i blada, ale ponieważ urodziła się jako niebieski deresz, to w jej przypadku o bladości oczywiście nie było mowy. Za to pewnie czuła się blada i przez dziesięć długich tygodni musieliśmy się nią opiekować. Była filigranowa, delikatna, leciutka, bystra,

wrażliwa i pogodna. Trzy dni zajęło nam namówienie Grubaśki II, żeby poszła na pastwisko. Wy tłumaczyliśmy jej, że musi jeść, jeśli chce produkować mleko dla swojej małej. Nazajutrz zaproponowaliśmy jej spacer, ale po dziesięciu krokach błyskawicznie wróciła do córki. Użyliśmy innych narzędzi perswazji i w końcu trzeciego dnia dotarła na pole, gdzie smak trawy zawładnął nią bez reszty. Spędziła tam dwie godziny, po których wróciła na posterunek. Stopniowo wypracowała sobie rozkład dnia podzielony na etapy intensywnego wypasania i doglądania pacjentki.

Podczas pobytu w ciemnym, zimnym lesie po swych narodzinach Czarnula nabawiła się ostrej niewydolności oddechowej. Leczenie zdawało się trwać wieczność, ale z czasem cielę nabrało sił i nauczyło się pić mleko prosto od matki. Grubaśka II nie mogła się doczekać chwili, kiedy będzie mogła zabrać córkę na pastwisko. Rozmawiała z nią o tym, wołała do niej i robiła, co mogła, żeby namówić ją do wyjścia z obory. Ale Czarnula wiedziała, że jest jeszcze za słaba.

Pewnego ciepłego, bezwietrznego dnia załadowaliśmy ją do land rovera i wywieźliśmy na pole. Podjechaliśmy do Grubaśki II i ostrożnie postawiliśmy przy niej jej córkę. Była niezmiernie szczęśliwa, że ją widzi. Czule i dumnie muczała, obowiązkowo ją wylizała, obesza wokół z niedowierzaniem w oczach, a na koniec nam podziękowała. Potem jednak zaczęły się kłopoty.

Wiedzieliśmy, że Czarnula musi przebywać z mamą, żeby nauczyć się paść i przyzwyczaić do życia w stadzie. Była jednak nadal bardzo słaba i nie mieliśmy wątpliwości, że to będzie skomplikowany proces.

Nie minęła godzina, a zaczęło padać. Pojechaliśmy na pole, zabraliśmy Czarnulę i przywieźliśmy ją do domu. Jej matka była wściekła.

Niestety, pogoda stale się zmieniała i Grubaśka II nie mogła zrozumieć, czemu co rusz przywozimy i zabieramy jej córkę. Ilekroć widziała naszego

land rovera, nawet jeśli Czarnula stała tuż obok, podchodziła do auta, wtykała łeb do środka i uważnie sprawdzała każdy zakamarek. Patrzyła podejrzliwie na wszystko, co robiliśmy, i z bólem muszę przyznać, że stała się wobec mnie oporna i niemila.

Nie przestała lubić innych ludzi, tylko mnie. Nadal darzyła sympatią moją matkę, która była autorką planu stopniowego uwalniania Czarnuli i osobiście wypatrywała pierwszej kropli deszczu, żeby dać sygnał do rozpoczęcia ewakuacji małej do obory; sama jednak nie przykładała do tego ręki (choć zawsze była obecna). Grubaśka II uważnie patrzyła, kto co robi, i na tych obserwacjach opierała swoje zachowanie.

Tymczasem jej córka powoli nabierała sił. W wieku pięciu miesięcy miała już ugruntowaną pozycję w stadzie, była jego mocno niezależnym członkiem. Gdy miała już córkę na stałe u swego boku, Grubaśka II przekazała jej swoją nieufność do mnie. Moje dwie bliskie przyjaciółki, które mogły na mnie liczyć w najtrudniejszych chwilach życia, teraz nie chciały mieć ze mną nic wspólnego. Byłam z nich obu dumna, cieszyłam się, że zachowują się normalnie, i nadal do nich mówiłam. Ale Czarnula mnie ignorowała, a jej matka gniewnie potrząsała głową. Jeśli, według niej, za bardzo się zbliżyłam, potrafiła mnie nią trącić. Na szczęście nie miała rogów.

Nawet zimą, kiedy stado całymi dniami chroniło się przed chłodem w oborze, musiałam być ostrożna, wchodząc do środka. Zdarzało się bowiem, że idąc z belą siana na plecach, nagle traciłam dech w piersiach, a kiedy odwracałam głowę, żeby sprawdzić, co się stało, widziałam Grubaśkę II, która stała nade mną, zdecydowana przypomnieć mi o krzywdzie, jaką jej wyrządziłam. Wybaczyła mi dopiero trzy lata później.

Większość moich historii nie ma zakończenia. Opowiadam wydarzenia, po których nasze życie po prostu toczyło się dalej. Ale historia Grubaśki II miała początek, rozwinięcie i zakończenie.

Moją matkę łączyła z Grubašką II wyjątkowa więź, która zaczęła się już w dniu jej narodzin. Kiedy miała zaledwie trzy godziny, przydreptała do niej, żeby się przedstawić, nie bacząc na swoją matkę (jak może pamiętacie, Grubaška nie przepadała za ludźmi).

Ich przyjaźń przetrwała trudy wczesnego dzieciństwa Czarnuli I, młodość Czarnuli II i była nadal silna, kiedy Grubaška II umierała.

Ostatniego dnia zimnego października Grubaška II urodziła piękną czarną jałówkę, tym razem przy asyście weterynarza. (Chronologicznie mała powinna była otrzymać imię Czarnula III). Trzy dni później moja matka była w oborze z Grubašką II i jej nowym cielakiem i wyczuła, że dzieje się coś bardzo złego. Wręcz wiedziała, że staruszka jest bliska śmierci. Nikt inny niczego nie zauważył. Każdego dnia krowa lizała i karmiła swoje małe, leżąc przy jego boku.

Potraktowaliśmy serio przeczucie mojej mamy i wezwaliśmy weterynarza, który stwierdził, że Grubaška II ma zapalenie otrzewnej, i powiedział, że nie da się go wyleczyć. Chcąc jej oszczędzić cierpienia, postanowiliśmy ją uśpić. Przed śmiercią spojrzała mojej matce w oczy z wyrazem niesamowitej determinacji i kazała jej obiecać, że zaopiekuje się jej najmłodszym dzieckiem. Moja mama złożyła obietnicę i Grubaška II ją zrozumiała. Mama nie złamała danego słowa, a trzeba przyznać, że dotrzymanie go wymagało wysiłku, pomysłowości, determinacji i sprytu. Siostrzenica Grubaški II, Roan Bonnet, ocieliła się kilka dni wcześniej, ale jej syn, Książę Lancaster, nie potrzebował jeszcze całego jej mleka. Od przyjścia na świat Biskupa Durham jej wydajność wzrosła, a mleko musiało mieć podobną jakość co mleko Grubaški II, bo obie były tej samej rasy (Beef Shorthorn), w dodatku miały jeden rodowód. Poprosiliśmy Roan Bonnet, żeby zaadoptowała sierotę, która została oficjalnie nazwana Jane Eyre. Nie spodobał się jej ten pomysł.

Umieszczona w zagrodzie i związana, Roan Bonnet chętnie dawała nam

mleko w zamian za jęczmień, jabłka i słodkie siano, więc zamiast podłączać jej dojarkę, postanowiliśmy wydoić ją przy pomocy Jane Eyre. Tylko że Roan Bonnet nie była w ciemną bita i gdy tylko kątem oka dostrzegła zbliżającą się jałówkę, zaczęła kołysać się na boki, żeby uniemożliwić jej uchwycenie wymion. Wtedy z pomocą przyszedł nam Lancaster. Ustawiliśmy go blisko matki, dzięki czemu ilekroć oglądała się za siebie, widziała swoje własne dziecko, a tymczasem schowana za nią Jane piła do syta. Przez kilka tygodni polegaliśmy na serdecznej naturze Lancastera, który pełnił rolę ochroniarza swojej adoptowanej siostry.

Cała procedura pochłaniała ogromne ilości czasu, bo za każdym razem musieliśmy krępować Roan Bonnet, ale niedługo przed tym, jak Jane Eyre skończyła dwa miesiące, Lancaster wymyślił rozwiązanie, które okazało się korzystne dla wszystkich. Mianowicie kiedy tylko nachodziło go pragnienie, wołał Jane, żeby do niego dołączyła, nawet kiedy jałówka pasła się akurat na drugim końcu pola. Niebawem postanowił przejąć obowiązek pielęgnowania sierści Jane Eyre. Jane i Lancaster zostali bliskimi przyjaciółmi i nawet dwa lata później, mając za sobą liczne rozłąki, spotykali się co jakiś czas, żeby położyć się obok siebie, podziwiać widoki i rozmawiać o tym i owym.

Ale zanim nastał ten szczęśliwy okres, miał miejsce jeszcze jeden nieprzyjemny incydent. Któregoś dnia Jane poprosiła Roan Bonnet o mleko, kiedy Lancastera nie było w pobliżu, na co ta kopnęła młodą jałówkę. Na biodrze Jane pojawił się duży guz, który z dnia na dzień rósł. O dziwo, nie był bolesny i nie sprawiał, że kulała. Jane zachowywała się normalnie, bawiła się z Lancasterem, Billym i Guliwerem: wszyscy oni urodzili się mniej więcej w tym samym okresie. (Jedynie Alfredowi, synowi Ditch-Hog, nie wolno było bawić się z „plebsem”, ale to już zupełnie inna historia).

Nie chcieliśmy zwracać się o pomoc do weterynarza. Starsza siostra Jane, Czarnula, była leczona tak długo i intensywnie, że woleliśmy uniknąć

kolejnej długotrwałej terapii, o ile nie była absolutnie konieczna. Zdecydowaliśmy się więc na homeopatię. Ten temat to odrębny rozdział naszego życia na farmie, dość stwierdzić, że w tym przypadku homeopatia podziałała. W niecałą dobę po podaniu zalecanej substancji guz pękł, nie sprawiając Jane bólu. Dwa dni później nie było po nim nawet śladu, a niedługo potem nie pamiętaliśmy nawet, po której był stronie, i mamy nadzieję, że Jane też o tym zapomniała.

Krowy mają swoje upodobania

Kilka słów o samej Bonnet. Była pierwszą córką Grubaśki (która przed nią urodziła jeszcze dziewięciu synów) i wyrosła na wspaniałą krowę. Bonnet uwielbiała jabłka. Lubi je większość krow, podobnie jak owce, świnie i ptaki, ale Bonnet myślała o nich na okrągło, przez wszystkie pory roku. Ilekroć nas widziała, jej oczy patrzyły z niemym pytaniem, czy mamy przy sobie jabłko albo chociaż gruszkę. W swoim długim życiu nauczyła się zadawać najróżniejsze pytania za pomocą spojrzeń.

Nasze jabłka (odmiany Laxton's Fortune i Newton Wonder), przechowywane na drewnianych półkach zawieszonych wysoko w przewiewnej oborze, zachowywały świeżość aż do marca, a bywało też, że doczekiwały maja, choć nie było to regułą. Wygospodarowaliśmy dla nich trochę miejsca w chłodni, dzięki czemu mieliśmy zapasy wystarczające nam na cały rok i Bonnet mogła być spokojna nawet w miesiącach, w których nie było dostępu do świeżej trawy. Jakimś sposobem wiedziała, kiedy zaczynała dojrzewać odmiana Worcester Pearmain, i w odpowiednim czasie stawała pod drzewem, żeby sięgnąć niższych gałęzi i zerwać owoce rosnące w zasięgu jej pyska. Pięć, sześć tygodni później przenosiła się pod drzewo, na którym rosły jabłka odmiany Lord Derby, dla nas dużo, dużo bardziej

kwaśne, ale dla niej słodkie jak wszystkie inne.

Inne krowy jadły jabłka pojedynczo, Bonnet potrafiła wziąć do pyska cztery naraz i gryźć je bez większego trudu. O dziwo, tytuł Pożeraczy Jabłek nadaliśmy nie Bonnet ani jej krewnym, którzy odziedziczyli po niej miłość do jabłek albo zwyczajnie podpatrzyli jej zwyczaje żywieniowe, ale Jacques'owi i Maurice'owi, zaskakującej parze przyjaciół, których połączyło wspólne nieszczęście.

Jeanine, matka Jacques'a, i Highnoon VII, matka Maurice'a, umarły w odstępie dwóch tygodni. Nie przedstawiliśmy sobie ich dwóch chłopców, bo obaj mieli własnych znajomych i starsze siostry, a do tego dzieliło ich kilka miesięcy, co w przypadku bydła jest znaczącą różnicą wieku. Jednak sami się odnaleźli i zawiązali silną, wieloletnią przyjaźń. Obydwu poświęciliśmy dodatkową uwagę w ramach wspierania cieląt w żałobie; jedną z metod, jakie stosowaliśmy, było codzienne karmienie jabłkami. Jacques i Maurice szybko poznali się na ich przepysznym smaku. Kiedy tylko nasz land rover wjeżdżał na pole, obaj ustawiali się w strategicznych punktach, żebyśmy ich na pewno zauważyli. Z czasem Jacques nauczył się wtykać łeb do środka samochodu przez otwarte okno, żeby inna krowa nie dostała przez pomyłkę jego przydziału. Maurice był nieco bardziej powściągliwy i kręcił się z tyłu auta, czekając, aż zwrócimy na niego uwagę. Jacques był wspaniałym herefordem, czerwonym z białym pyskiem, Maurice – niepozornym, ale bystrym bykiem rasy Lincoln Red. Mimo tych różnic obydwaj Pożeracze Jabłek trzymali się razem na dobre i na złe.

Kontakt wzrokowy

Trudno jest pisać o krowach żyjących na naszej farmie bez wspomnienia o incydentach z udziałem członków rodziny Grubasiek. Dziewiątego stycznia

1995 roku Little Bonnet i jej syn Smasher, July Bonnet i jej syn JB oraz Roan Bonnet z synem Red Rumem zostały przyprowadzone na podwórko. Człowiek z ministerstwa chciał je policzyć i spisać numery z kolczyków. To oznaczało, że Christmas Bonnet, młodsza córka July, została sama, bez rodziny i przyjaciół. Nazajutrz, kiedy pojechałam z mamą na Pole Pomnikowe, żeby nakarmić bydło, Christmas Bonnet obeszała land rovera dookoła, bacznie się w nas wpatrując. Dopiero po kilku minutach zrozumialiśmy, o co jej chodzi, a wtedy obie ją przeprosiliśmy i obiecałyśmy przyprowadzić ją do domu tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. Jednak nie mogliśmy tego zrobić od razu, bo mój brat wyjechał i miałyśmy mnóstwo dodatkowej pracy. Richard wrócił wieczorem i zobaczył, że Christmas Bonnet stoi z grupką żywicielek, do której nie należała. Patrzyła na drugą stronę drogi i stojące tam budynki. Powiedział nam, co widział, więc wyjaśniłyśmy mu całą sytuację. Najwyraźniej Christmas w jakiś sposób pokonała trzy żywopłoty, ogrodzenia i bramy, żeby wrócić do gospodarstwa. Kiedy rodzina była znowu w komplecie, uczcili to, jedząc jabłka na kolację.

Inną krową, która nauczyła się walczyć wzrokiem o swoje, była Czarna Wendy II, zwana również Przyjazną Wendy. Pewnej zimy zauważalnie schudła, więc postanowiliśmy dawać jej wieczorem dodatkową porcję pokarmu. Szybko nauczyła się wracać do domu z żywicielkami, ale raz zdarzyło się, że mieliśmy niespodziewanych gości i przegapiliśmy porę karmienia. Wendy wyszła z zagrody i zauważyła mężczyznę, który spędzał wakacje w jednym z domków na naszej farmie. Podeszła do niego i utkwiała w nim wzrok. Chodziła też za nim, śledząc każdy jego ruch, podczas gdy on krzątał się po ogrodzie. Jak nam potem relacjonował, powiedział jej, że choć nie wie, czego jej potrzeba, to z chęcią w jej imieniu zasięgnie rady wyższej instancji. Przeszedł sto metrów do naszego domu z Wendy człapiącą tuż za

jego plecami. Cały manewr zakończył się podaniem jej wyczekiwanej kolacji, a ponieważ Wendy była naprawdę uważną obserwatorką, od tamtego dnia codziennie podchodziła pod okno naszej kuchni i patrzyła w milczeniu, aż jej nie zauważyliśmy.

Krowy pamiętają

Jedną z najprzyjemniejszych cech, jakie miewają krowy, jest dobra pamięć. Mówię to oczywiście z ludzkiego punktu widzenia, choć ośmielę się stwierdzić, że dobra pamięć służy też samym krowom. Podział obowiązków na farmie uniemożliwia czasem niektórym z nas kontakt z konkretną grupą zwierząt nawet przez kilka tygodni, podczas których inni będą spotykać tę grupą codziennie. Bez względu na to, jak długo trwa taka rozłąka, krowy zawsze pamiętają każde z nas. Mają swoich ulubionych ludzi i vice versa. Owce też mają doskonałą pamięć. Powszechnie uważa się, że potrafią odróżnić nawet do pięćdziesięciu osobników spośród swojego najbliższego grona. Na podstawie mojego doświadczenia mogę powiedzieć, że pamiętają wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek poznały. Prawdopodobnie, o czym świadczą różne dowody, rozpoznają nas po głosie, ale niewykluczone, że rozróżniają też rozmaite cechy naszego wyglądu, nasz sposób chodzenia czy nawet wzrost.

Co nieco o koniach

Na początku lat sześćdziesiątych mieliśmy dwa kucyki. Starsza, mądrzejsza i bardziej uparta klacz, która cierpiała na chroniczny artretyzm, pewnego dnia wpadła do rowu i beznadziejnie się w nim zaklinowała, brzuchem do góry.

Na szczęście tego samego dnia mój tata wyszedł na pole po młodszego kuca, żeby zaprowadzić go do stajni i podkuć mu kopyta. Zwierzę pozwoliło sobie założyć kantar, ale absolutnie nie chciało opuścić pola, za to cierpliwie zaciągnęło tatę w stronę rowu. To nietypowe zachowanie uratowało życie starej dziewczuchy. Ze wzruszeniem patrzyliśmy na ziemię na krawędzi rowu, zrytą jego kopytami. Ewidentnie próbował wcześniej samodzielnie ocalić swoją przyjaciółkę.

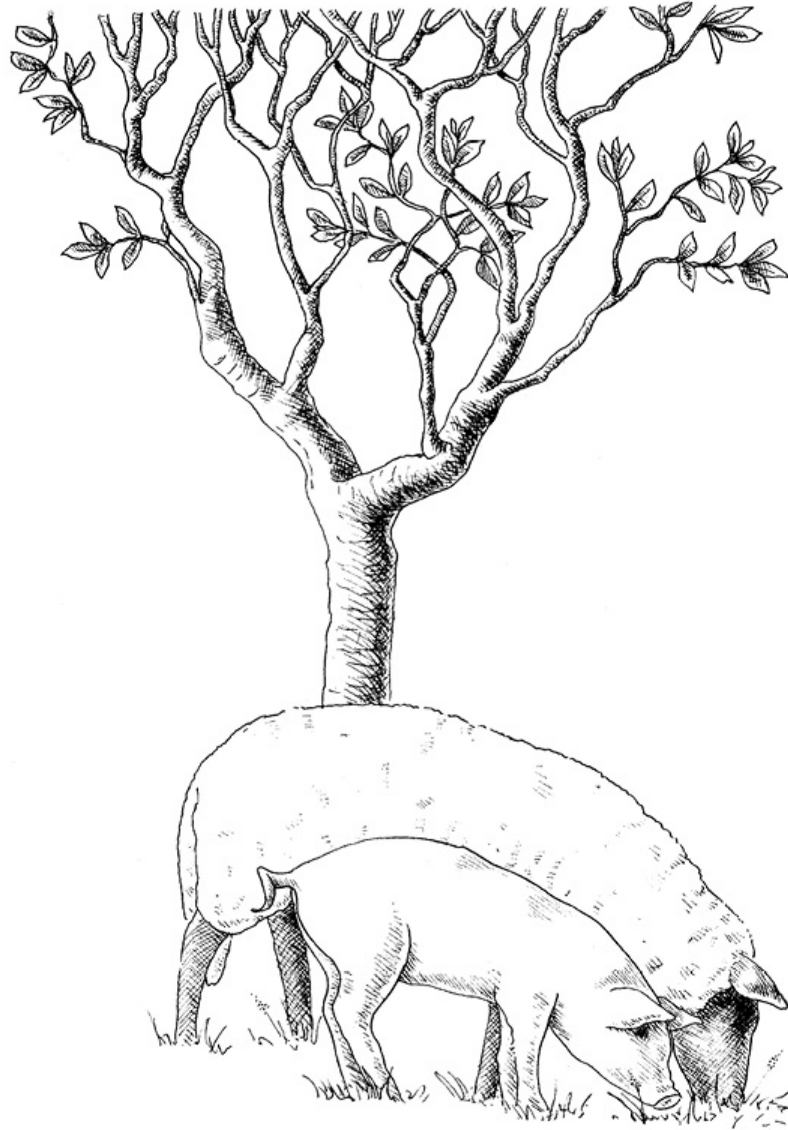
Dygresja o owcach, świniach i kurach

Bydło jest ogromnie ważną częścią naszego życia, a im bardziej zbliżona do naturalnej jest egzystencja naszych zwierząt, tym ciekawsze obserwowanie ich zachowań. Z tego samego powodu fascynuje nas życie dzikich zwierząt i ptaków, ale tę krótką dygresję poświęcę owcom, świniom i kurom.

Audrey i Sybil, dwoje wychowanych przez nas, osieroconych jagniąt, i Gayle Elspeth Rosie, świnia zwana też Piggy, były absolutnie wyjątkowe – każde na swój sposób. Kiedy Piggy zjawiła się u nas 20 czerwca 1985 roku, w wieku jednego miesiąca i jednego dnia, leżała w pudełku po butach i od czubka ryjka do końca rozciągniętego ogonka mierzyła tylko osiemnaście centymetrów. Jagnięta Audrey i Sybil urodziły się 22 marca tego samego roku.

Piggy przyszła na świat w przemysłowej farmie i została od razu wyrzucona, bo była „za mała, żeby sobie nią zawracać głowę”. Gayle, która tam pracowała, ocaliła ją i odchowalała na pokarmie dla niemowląt. Opiekowała się nią w swoim mieszkaniu na drugim piętrze z pomocą owczarka niemieckiego, ale wiedziała, że Piggy będzie w końcu ważyła ponad sto kilo i że na długo przed tym nie będzie już mogła mieszkać na piętrze, dlatego poszukała dla niej stałego domu, w którym zamierzała ją

umieścić, zanim się do niej zbyt mocno przywiąże. Namiary na mnie dostała od naszej wspólnej znajomej, Elspeth.



Piggy nie spodobało się, że zabrałam ją z jej milutkiego domu, i ogłosiła strajk: zagrzebała się w stercie siana i nie wyściubiła z niej nosa przez cały dzień (chyba że była głodna albo spragniona, a my akurat nie patrzyliśmy). Nazajutrz postanowiła w pełni wykorzystać swoje nowe położenie, pozwoliła nam się rozpieszczać i spełniać wszystkie swoje zachcianki. Zabieraliśmy ją na przejażdżki land roverem po farmie i pozwalaliśmy jej wybiegać się po polach, gdzie z radością bawiła się w chowanego w stogach siana. Jeszcze trzy miesiące później, kiedy była już dużo większa i cięższa, ochoczo towarzyszyła nam na spacerach, nawet tych wiodących pod górę, choć wtedy zdecydowanie wolała wracać do domu niesiona na rękach.

Kiedy Piggy i Audrey zobaczyły się po raz pierwszy, było to zaskakujące spotkanie równych sobie. Piggy była pewnie ze cztery razy mniejsza od Audrey, która spojrzała na to przedziwne maleństwo z wyrazem wyższości w oczach. Piggy nie drgnął nawet jeden mięsień. Stały tak nos w nos, gapiąc się na siebie, aż po dwóch minutach bez ruchu wreszcie doszły do porozumienia, a potem szybko nawiązały bliską przyjaźń. Żadne z nich nie znało swojej matki.

Rankiem Audrey regularnie przychodziła „wołać” Piggy. Najczęściej po prostu budziła ją, szturchając lekko racicą. Jeśli to Piggy wstała pierwsza, znajdowała Audrey i trącała ją głową. Potem spędzały razem dzień na zabawach, skubaniu trawy i grzebaniu w ziemi pod drzewami wiśni, na ogół w towarzystwie Sybil. Przyjaźń trwała, dopóki Audrey nie urodziła Brigitte i Lolity, z którymi nie bardzo wiedziała, co robić, a Piggy nie wydała na świat jedenaściorga prosiąt, co ją też mocno zdziwiło. Sybil urodziła Manuela. Właśnie wtedy zrozumieliśmy, że i Piggy, i Audrey uważały się za ludzi. Sporo cierpliwości i sprytu wymagało od nas nauczenie ich, jak być matkami, ale w końcu macierzyństwo pochłonęło je tak bardzo, że zapomniały o sobie nawzajem.

Cudownie było obserwować Audrey przez całe jej długie życie. Była zawsze przyjazna i pomocna, a zarazem spokojna i piękna. Ilekroć musieliśmy przyprowadzić do obory wszystkie owce, szła za nami jak owczarek, a jeśli cokolwiek je wystraszyło pod naszą nieobecność, na przykład bezpański pies, Audrey prowadziła je do domu przez bramę dla owiec (za wąską dla krów). Czasami, kiedy odwiedzaliśmy ją na polu, bardzo uprzejmie dawała nam do zrozumienia, że jest teraz bardzo zajęta skubaniem trawy. Jeżeli mimo to do niej podchodziliśmy, żeby ją pogłaskać, nie uciekała, ale zaczynała jeść szybciej i oddalała się trochę prędzej, niż my szliśmy. Bywało jednak, że mieliśmy ważny powód, by się z nią spotkać. Wtedy ją doganialiśmy, a ona posłusznie się zatrzymywała.

Pamiętam dzień, kiedy zaprosiliśmy na farmę pięćdziesięcioro ośmiu i dziewięciolatków, a Aubrey stała nieruchomo i pozwoliła każdemu dziecku się pogłaskać, co bardzo je uradowało. Baliśmy się, że taka inwazja może ją wystraszyć, ale ewidentnie uznała, że dla dobra sprawy warto poświęcić chwilę wypasania.

Sybil była dobrą, silną, ale nudną owcą. Aubrey ją lubiła i była dla niej miła, ale wolała spędzać czas z Piggy, która zawsze wymyślała jakieś ciekawe zajęcia. Piggy i jagnięta chodziły, gdzie im się podobało. Owieczki przeskakiwały przez płot ogrodu, a świnia otwierała sobie furtkę nosem.

Kiedy się oprosiła, kolejny raz zadziwiła nas tym, że naprawdę uważa się za człowieka. Strach, jaki okazywała na widok swoich dzieci, wynikał po prostu z faktu, że nigdy wcześniej nie widziała małych prosiąt. Sama w kilka minut po urodzeniu została oddzielona od matki i rodzeństwa i uczyła się życia od swojej opiekunki. Była jedyną znaną mi świnią, która umiała się zachować przy stole. Wszystkie inne gnały na złamanie karku do człowieka, który przyszedł je nakarmić, nie bacząc na to, że przez ten pośpiech ich żywiciel może wylać ich jedzenie na ziemię. Tymczasem Piggy czekała

cierpliwie, aż karma trafi do koryta. Najwyraźniej zdawała sobie sprawę, że jeśli się wyleje, nie będzie można jej zjeść. Wprawdzie szybko nauczyła się opieki nad potomstwem, ale dobrych manier przy stole nie zdołała mu przekazać, zresztą pewnie nawet nie próbowała.

Pewnego dnia jedna z wnuczek Piggy, Lucy, pozbawiła mnie złudzeń odnośnie do jednego szczególnie starego zabobonu. Rachel i Lucy ryły ziemię w małym sadzie, a ja zastanawiałam się, co bym zrobiła, gdyby któraś z nich wpadła do stawu. Byłam pewna, że żadna świnia nie weszłaby z własnej woli do wody, bo przecież instynkt podpowiedziałby jej, że nie umie pływać. Wiedziałam o tym „fakcie” już od wczesnego dzieciństwa, toteż zamiast pracować w ogrodzie, ciągle wracałam do myśli, że powinnam pójść po traktor i sznur; tymczasem Lucy wskoczyła z gracją do wody, z uśmiechem na buzi dwukrotnie opłynęła staw dookoła, po czym wyszła na brzeg, otrzepała się i wróciła do rycia. Wbiło mnie w ziemię.

Któregoś dnia pracowałam w kuchni. Naraz usłyszałam głośnie łomotanie w drzwi od ogrodu – gorączkowe, nieustające dudnienie. Kiedy je otworzyłam, zdałam sobie sprawę, że waleniu towarzyszy równie natarczywe beczenie. Audrey – bo to ona kopała w drzwi – na mój widok zabeczwała jeszcze głośniejsze i pobiegła przez trawnik, stanęła, odwróciła się, znów do mnie przybiegła, becząc, i po chwili wybiegła na środek trawnika. Była jak Lassie: próbowała mnie namówić, żebym poszła za nią. Pobiegłyśmy obie, przeskoczyłyśmy przez strumyk, wdrapałyśmy się na stromy brzeg i nagle okazało się, że stoję na skraju basenu, w którym Sybil pływa w kółko i nie jest w stanie się zatrzymać. Skoczyłam jej na ratunek, objęłam ją wpół i momentalnie zdałam sobie sprawę, że jagnię, które bez problemu byłam w stanie nieść, gdy było suche, teraz ma nasiąknięte wodą futro i jest zbyt ciężkie, żebym dała radę wyciągnąć je na wysoki brzeg basenu wypełnionego wodą tylko do połowy. Sybil była zmarznięta i wystraszona, a ja nie miałam

pojęcia, ile czasu spędziła w basenie. Trzymałam Sybil jak najdalej od lodowatej wody, wspartą o moje uniesione kolano. Obie z Audrey zaczęłyśmy wołać mojego tatę, który był jedyną osobą znajdującą się w pobliżu. Pracował w warsztacie jakieś sto metrów dalej i głośno coś spawał. Audrey powtarzała jak echo każdy mój okrzyk, a czasem wołałyśmy razem. W końcu nas usłyszał i pośpieszył z pomocą. Sybil szybko doszła do siebie, ale ja nie mogłam się rozgrzać przez cały dzień.

Zdarzyło się raz (i nigdy się nie powtórzyło), że dzika kaczką zabrała swoje dzieci – ośmioro kaczątek – na nasz basen, który był wtedy wypełniony w trzech czwartych. Kaczątki były za małe, żeby się z niego potem wydostać. Jak na dzikiego, niezżytego z ludźmi ptaka przystało, ich matka stała na krawędzi i desperacko kwakała. Początkowo nie zwracaliśmy większej uwagi na jej płacz, ale po jakimś czasie matczyzna rozpacz zaintrygowała nas na tyle, że wyszliśmy zobaczyć, co się dzieje. Kaczka odważnie stała na swoim miejscu. Miałam przy sobie aparat fotograficzny i w pierwszej chwili pomyślałam, że matka i jej dzieci wyglądają jak zwykła, szczęśliwa kaczka rodzina. Był kwiecień i nie planowałam pływać, ale w końcu weszłam w ubraniu do wody. Za każdym razem, kiedy próbowałam sięgnąć po któreś kaczątko, ono nurkowało i przepływało pod wodą na drugą stronę basenu, a kiedy ponownie się do niego zbliżałam, powtarzało ten manewr. Małe stopniowo traciły siły, ja zresztą też. Moja matka i ich matka cierpliwie czekały na brzegu. W końcu mama poszła po mojego tatę i brata, którzy przynieśli siatkę tenisową. Stanęliśmy w rzędzie w poprzek basenu, przytrzymując siatkę przy dnie stopami, i powoli ruszyliśmy w stronę naszej „zdobyczy”. Kiedy udało nam się zagonić kaczątko do jednego rogu, wyciągnięcie ich z basenu poszło już szybko. Oddawaliśmy maleństwa, jedno po drugim, mojej matce, która je suszyła i cuciała. Kacza mama czekała cierpliwie i spokojnie, dopóki całe stadko nie zostało jej zwrócone, a wtedy

zaprowadziła je do stawu, gdzie jej dzieci były bezpieczne.

Drugi raz ani ona, ani jej małe nie popełnili tego samego błędu.

Trochę później opowiem historię starej, siwej kury i jej ochroniarzy. Tego typu relacja zawiązuje się wśród kur dość często. Owce też potrafią pełnić straż u boku swoich bliskich. Kiedy Ellen urodziła bliźnięta, sama mając tylko trzynaście miesięcy, jej dwie cioteczne babcie strzegły małych przed resztą stada.

Trudne porody – krowy nigdy się nie mylą

Niektóre krowy chowają się w odległych zakątkach farmy tuż przed ocieleniem, inne jednak znajdują zmyślne sposoby, by zwrócić się do nas z prośbą o pomoc. Na szczęście znaczna większość ani się nie kryje, ani nas nie potrzebuje. Najbardziej zapadają w pamięć porody z komplikacjami.

Nonee zeszła z wysoko położonych pastwisk, na których jej przyjaciółki skubały bujną letnią trawę, i położyła się w ciemnym rogu obory. To wystarczyło, byśmy zwrócili na nią uwagę. Było to na dwa dni przed ocieleniem i zewnętrzne oznaki nie były jeszcze widoczne, ale najwyraźniej Nonee uznała, że powinna być pod czyimś okiem, i oczywiście miała rację.

W tych sprawach krowy nigdy się nie mylą.

Czarna Bumble, jedna z identycznych bliźniaczek starej Pani Bumble, zastosowała inną taktykę na zwrócenie naszej uwagi. Ona też oddaliła się od stada i podeszła tak blisko domu, jak tylko pozwalało jej ogrodzenie, a następnie maszerowała tam i z powrotem przed oknem kuchennym. Jej lęk był uzasadniony, bo okazało się, że małe było ułożone w macicy w bardzo niekorzystnej pozycji: odwrócone tyłem do przodu, do tego obrócone do góry

nogami i trochę skrzycone.

Hippolita zasługiwała na współczucie z dwóch powodów. Potrzebowała pomocy przy porodzie, ale ponieważ był to pierwszy przypadek w jej długim życiu, kiedy musiała polegać na ludziach, konieczne było opracowanie metody komunikacji z nami. Po prostu nigdy jej tego nie nauczono. Tak daleko, jak sięgała jej i nasza pamięć, wszyscy członkowie jej rodziny byli wielkimi indywidualistami. Był to ród wysokich krów o centkowanych, biało-czerwonych twarzach, zwierząt delikatnych i czułych wobec siebie nawzajem, ale raczej nieufnych w stosunku do ludzi. Hippolita naprawdę nie chciała prosić o pomoc, ale w końcu znalazła sposób. Kręciła się przy domu, wchodziła nam w drogę, przeszkadzała, była nietypowo jak na siebie przyjazna i chętna do współpracy. To naturalnie wzbudziło w nas podejrzenia. Staraliśmy się ułatwić jej sprawę, bo wiedzieliśmy, jak ważna jest dla niej jej krowia duma. Po udzieleniu jej wsparcia w trudnym, choć bezbolesnym porodzie ignorowaliśmy ją jak wcześniej. Mimo to ukradkiem ją obserwowaliśmy, ale okazało się, że już nas nie potrzebowała.

Krowy szukają pomocy u ludzi nie tylko wówczas, gdy mają się ocielić.

Przez czterdzieści trzy lata stosowania tak zwanego odchowu przy matkach widzieliśmy wiele krów, które przychodziły do nas i prosiły o wydojenie. Robiły to z różnych powodów. Bywa, że „nastoletnie” cielęta tak się rozsmakują w trawie, że nie czują potrzeby picia mleka. Na wiosnę, kiedy trawy rosną obficie i gęsto, większość krów produkuje mleko w nadmiarze. Jeśli te dwa czynniki wystąpią jednocześnie, krowa będzie potrzebowała dojenia. Niektóre krowy są tak inteligentne, że proszą o dojenie, gdy chorują na zapalenie sutków. Inne cierpią w milczeniu.

Dizzy i jej rodzina

Późnym latem 1966 roku moi rodzice pojechali do Forest of Dean, żeby odebrać dwudniową jałówkę od człowieka, który wcześniej sprzedał im w sumie pięć krów. Tata nazwał ją Discount. Leżała zwinięta na tylnym siedzeniu naszego niebieskiego forda cortiny i tak dojechała bezpiecznie do domu, podczas gdy siedzący z przodu rodzice wsłuchiwali się w nadawaną w radiu ekscytującą transmisję meczu krykieta. Discount miała dać początek nie lada dynastii. Rodziła same córki, które też wydawały na świat córki, więc klan się rozrastał. Do dziś mamy w stadzie co najmniej dwadzieścioro jej bezpośrednich potomków.

Jednym z nich jest Dizzy. Jej pierwszym cielakiem był Olé, który z czasem stał się naszym buhajem. Uczył się swojego fachu od Jake'a już jako malec, kiedy Jake zaczynał się starzeć. Olé wyglądał wspaniale i był równie łagodny jak jego matka, ale zbyt zajęty czerpaniem radości z życia, by przejąć od Jake'a jego wrażliwość. Olé i Mr Mini byli dokładnie w tym samym wieku i obaj chcieli być tacy jak Jake, którego kochali zarówno ludzie, jak i krowy. Nie mieli szans przypominać go z wyglądu, bo Jake był welsh blackiem, Mr Mini – lincoln redem, a kremowy Olé należał do rasy Charolais. Ale naśladowali wszystko, co tylko mogli u Jake'a naśladować. Postanowili, niezbyt mądrze, że nakłonią Jake'a, by nauczył ich walczyć, więc nieustannie zawracali mu głowę, prowokując do starć. Atakowali go we dwóch naraz, trącali w nogi albo w szyję, ogólnie zachowywali się jak natrętne muchy. Jake nic sobie z nich nie robił i w spokoju skubał trawę. Potrafili całymi godzinami skakać wokół niego i szturchać go głowami, aż w końcu tracił cierpliwość i dawał im odpór jednym pchnięciem albo spojrzeniem, po którym obaj dawali mu spokój.

Zdecydowanie warta opowiedzenia jest historia ostatniego cielaka Dizzy, imieniem Dizzy II. W wieku około sześciu miesięcy dostała ksywkę Ochroniarz. Jej dwudziestoletnia matka zaczynała cierpieć na artretyzm

i pękały jej racice. W związku z tym nie chciało się jej pokonywać nierzadko długich dystansów, jakie stado przemierza w ciągu dnia; poza tym jej kończyny wymagały nacierania. Odwiedzaliśmy ją kilka razy dziennie, żeby natrzeć jej nogi maścią, a racice olejem lnianym, i nakarmić czymś smakowitym, żeby nie musiała daleko chodzić. Zanim zaczęliśmy zabiegi, Dizzy II widywała nas średnio raz dziennie i nawet wtedy nie zwracaliśmy szczególnej uwagi na jej matkę. Teraz te częstsze wizyty wzbudziły jej podejrzenia i bez względu na to, jak daleko się pasła albo bawiła, kiedy tylko podjeżdżaliśmy i zatrzymywaliśmy auto przy jej mamie, mała Dizzy rzucała wszystko, czymkolwiek się zajmowała, i galopowała do nas, żeby sprawdzić, co robimy. Stara Dizzy uwielbiała nasze zabiegi, ale jej córka nie odstępowała nas na krok i wszystkiemu bacznie się przyglądała, dopóki nie odjechaliliśmy. Dopiero wtedy wracała do swoich zajęć.

Codziennie coś się dzieje...

...ale większość zdarzeń pozostaje niezauważona.

Jedna z dróg prowadzących do prawdziwej wielkości wiedzie przez cierpienie. Wydobywa ono to, co najlepsze z ludzi, którzy przeżyli wojnę, wypadki, stratę, krzywdę, ubóstwo, głód czy prześladowanie. Wszystko, co nas nie zabija, wzmacnia nasze wewnętrzne dobro, przydaje sił i wytrwałości. W krowim świecie ból też potrafi wzbogacić.

Można by powiedzieć, że Czarna Araminta była jałówką jak wszystkie inne. Nie byłaby to prawda, ale faktem jest, że my sami nie wiedzieliśmy, z jakiej jest ulepiona gliny, dopóki nie stanęła twarzą w twarz z nieszczęściem.

Pewnego dnia złamała nogę. Na szczęście – jakkolwiek dziwnie brzmi to słowo – stało się to tylko trzydzieści metrów od domu. Dzięki temu dużo

łatwiej było się nią zaopiekować.

Kiedy inne krowy przeniosły się na sąsiednie pastwisko, zauważyliśmy, że Czarna Araminta stoi samotnie. Nie wyglądała na zboląłą, po prostu się nie ruszała. Jak się okazało, nie mogła postąpić kroku przez następne sześć tygodni. Ochoczo piła i jadła, mogła się kłaść i wstawać, ale nawet nie próbowała iść do przodu ani wstecz.

Pięknie zareagowała na troskę z naszej strony, jak zresztą wszystkie zwierzęta, może tylko z wyjątkiem jej ostatniego cielaka, dwumiesięcznej jałówki o imieniu Gemima, którą musieliśmy skrepować, żeby opatrzyć rozciętą nogę. Gemima nigdy nam tego nie wybaczyła, najwyraźniej uznała nasze zabiegi za poniżającą impertynencję.

Niektóre zwierzęta traktują opiekę, jaką je otaczamy, jak coś oczywistego, co im się należy. Inne okazują wdzięczność, a jeszcze inne są nią głęboko poruszone albo zaskoczone. Tak czy owak, kiedy zaczniesz się pielęgnować i rozpieszczać chore zwierzę, będzie ono miało większe szanse na wyzdrowienie. Wcześniej nie znaliśmy Czarnej Araminty zbyt dobrze. Wydawała nam się całkowicie niezależna i zaradna, co zresztą potem się potwierdziło. Ale podczas rekonwalescencji obdarzyła nas pełnym zaufaniem.

Dokładnie sześć tygodni po wypadku przeszła o własnych siłach dziesięć metrów pod górę. Nie było nas przy tym. Zanieśliśmy jej wiadra z wodą. Następnego dnia pokonała kolejne pięćdziesiąt metrów. Wiadra powędrowały tym samym tropem. Trzeciego dnia zniknęła nam z pola widzenia. Znaleźliśmy ją w wygodnym zagłębieniu, osłoniętą cieniem dwóch dębów, kilkaset metrów dalej. I nie była sama.

Ocieliła się bez niczyjej pomocy; urodziła córkę o kremowej sierści, którą nazwaliśmy Gem. Araminta czule ją lizała i karmiła. Podeszliśmy bliżej, żeby jej pogratulować i obejrzeć małą, i to był moment, w którym dała nam

jasno do zrozumienia, że okres zaufania i zależności dobiegł końca. „Dziękuję wam za wszystko, ale od tej pory pomagajcie mi tylko wtedy, kiedy was o to poproszę”, powiedziała.

Zrobiliśmy to, o co prosiła. Cielęła się co rok i raz na jakiś czas potrzebowała naszej pomocy; prosiła o nią i ją dostawała. A to jedno wymię było zabłocone i trzeba je było obmyć, a to miała za dużo mleka na jedno małe cielę, innym razem kamień utkwiał jej w racicy. Poza tymi nielicznymi przypadkami nasza posłuszna, potulna pacjentka stawała się prawdziwą przywódczynią krowiej zagrody: nigdy nie przyznawała się do błędu, nie zmieniała zdania, nie pozwalała sobie na okazywanie uczuć; ale kiedy jej pomagaliśmy, łaskawie nam na to pozwalała.

Odwiedzamy nasze krowy co najmniej raz dziennie przez cały rok, a jeśli któraś jest bliska porodu, bywa, że doglądamy jej częściej. Araminta miała więc przynajmniej jedną okazję każdego dnia, żeby zwrócić naszą uwagę; poza tym, jak większość zwierząt, wiedziała, gdzie mieszkamy, i w razie konieczności mogła podejść pod nasz dom. Jeśli czegoś potrzebowała, przybiegała do nas, kiedy tylko wychodziliśmy na pole. Wiedzieliśmy jednak, że bynajmniej nie oznacza to przyzwolenia na głaskanie. Zazwyczaj po kilku sekundach orientowaliśmy się, o co jej chodziło.

Zastanawiam się, czy aby nie jest tak, że najprzyjaźniej nastawione krowy, te, które zawsze wymagają czułości, mają przez to większe problemy w komunikowaniu swoich rzeczywistych potrzeb. Od tej pory będę na to bardziej wyczulona.

Komunikacja cielesna

Krowy potrafią przekazać najróżniejsze komunikaty za pomocą ruchu głową. Jest on na przykład kluczowym elementem powitania człowieka albo innego

zwierzęcia – krowa wyciąga wtedy szyję i unosi nos, prawdopodobnie po to, żeby użyć zmysłu węchu. Nigdy nie byłam pewna, jak ważną rolę pełni węch w codziennym życiu krów. Z pewnością nie podoba im się, kiedy człowiek ma na sobie za dużo perfum. Mogę jednak bez cienia wątpliwości rozwiązać mit, którym mnie karmiono w dzieciństwie, mianowicie że krowy są daltonistkami i rozpoznają się wyłącznie po zapachu. Nieraz byliśmy świadkami następującej sytuacji: młody cielak zasypia, a jego matka odchodzi skubać trawę w innej części pola; prędzej czy później jedno z nich decyduje, że czas na ponowne spotkanie. Jeśli to matka podejmie decyzję jako pierwsza, rozejrzy się dookoła, przyjrzy się poszczególnym grupkom krów, a następnie ruszy – zawsze – w stronę cieląt umaszczonych tak samo jak jej małe, nawet jeśli ostatecznego wyboru dokona na podstawie zapachu lub innych wskazówek. Cielak postąpi podobnie – pójdzie w stronę krów o tym samym kolorze futra, jaki ma jego matka.

Serdeczne liźnięcie w parze z badawczym spojrzeniem prosto w oczy może być częścią przywitania. Krowa taka jak Gemima wita wszystkich ludzi gniewnym potrząsaniem głowy i jeśli ktokolwiek spróbuje podejść za blisko, zostanie mocno szturchnięty. Będzie to ostrzeżenie, po którym wprawdzie nie nastąpi atak, ale jeżeli zostanie zignorowane, ciosy staną się bardziej dokuczliwe.

Wszyscy członkowie stada używają głów podczas przywitania, rozpoznania i przyjęcia do grupy każdego nowego cielaka. Wystarczy zwykłe, szybkie spojrzenie z bliskiej odległości, żeby oznajmić, że młode zostało dodane do listy obecności.

Ruchem głowy zwierzęta odpychają od siebie niechcianą uwagę, ale mogą też użyć go do wyrażenia miłości i troski. Wzajemna pielęgnacja jest bardzo ważnym rytuałem w życiu krów i czymś absolutnie fascynującym jest to, na ile sposobów potrafią one zaprosić innego członka stada do wspólnych

zabiegów pielęgnacyjnych.

Uwagi o pielęgnacji

Pielęgnacja jest obszernym i niezwykle ważnym zagadnieniem. Obecnie na naszej farmie jest tylko jedno zwierzę, które nie lubi być przez nas pielęgnowane (i nie jest to Gemima). Wszystkie pozostałe to uwielbiają, nawet te najbardziej gburowate. Nasi podopieczni niezwykle uważnie dbają o higienę osobistą i jeśli z jakiegokolwiek powodu nie mogą doprowadzić się do przyzwoitego stanu, cierpią.

Kiedy July Bonnet niedawno się ocielila, po raz dziewiąty albo dziesiąty (nie pamiętam bez zaglądania do archiwum), złapała infekcję macicy i dość poważnie się rozchorowała. Jej niedyspozycja trwała kilka dni; w tym czasie nie miała siły o siebie zadbać, ale ku jej wielkiemu zadowoleniu ja wzięłam to zadanie na siebie. July jest bardzo dużą krową i dopiero gdy zaczęłam się przy niej krzątać, zdałam sobie sprawę ze skali przedsięwzięcia, na które się porwałam, ale nie mogłam się przecież teraz wycofać. Nasze pielęgnacyjne spotkania odbywały się regularnie przez jakiś tydzień. Któregoś dnia July podczas szczotkowania nagle przestała jeść siano i usłyszałam jakiś dziwny odgłos. Było to jej zadowolone chrapanie. July tak bardzo oddała się błogiemu uczuciu przyjemności, że głęboko zasnęła.

Krowy pielęgnują swoje małe; czasem cielęta, kiedy dorosną, odwzajemniają się im tym samym, ale sporo zabiegów pielęgnacyjnych wyświadczają sobie zwierzęta, których nie łączą więzy rodzinne. Krowa, która podejdzie do innej krowy z potulnie pochyloną głową, prawie zawsze dostanie w zamian darmowy zabieg. (Nieobeznanemu z krowami obserwatorowi trudno będzie tę prośbę odróżnić od agresywnego w tonie ostrzeżenia: różnica jest taka, że w tym drugim przypadku krowa też pochyli

głowę, ale równocześnie mocno napnie mięśnie). Każde zwierzę wie bez oglądania się za siebie, czy osobnik idący tuż za nim jest nastawiony przyjaźnie, czy szuka zaczepki. To zresztą nie powinno nas dziwić, przecież w czasach szkolnych też bezbłędnie wyczuwaliśmy, czy ktoś obok nas jest wrogiem, czy przyjacielem.

Zawsze dobrze jest mieć przy sobie szczotkę, żeby w razie czego móc wykonać zabieg pielęgnacyjny. Szczotkowanie może działać uspokajająco na zaniepokojone zwierzę, zdarza się też, że dzięki takiemu niespodziewanemu, przyjemnemu doznaniu krowa pozwoli usunąć niepożądany przedmiot, który utkwiał w jej racicy, i w ten sposób uniknie długiej i pełnej bólu podróży do domu.

Wprawdzie niektóre dzieci, na przykład Dizzy II, opiekują się swoimi matkami, ale inne są bardziej samolubne. Od ponad miesiąca codziennie obserwuję zabiegi pielęgnacyjne odbywające się za moim oknem kuchennym. Kiedy tylko aura im sprzyja, Laura z synem pojawiają się rankiem przed moim oknem i przez pół godziny matka starannie wylizuje sierść cielaka. Kiedy kończy, prosi go, żeby odwzajemnił się tym samym. Chłopak robi, co może, żeby się od tego wymigać, i na ogół mu się to udaje.

Laura zniża głowę i lekko go popycha. Niemalże widzę niedowierzanie i znudzenie w oczach malca. Trochę się od niej odsuwa, na co ona wyciąga do niego szyję. Co parę chwil mały liże ją dwa razy i przestaje. Ona próbuje różnych sztuczek, on jest niewzruszony. Po jakimś czasie matka szturcha go w podbródek i popycha trochę mocniej. Wtedy on liże ją jeden jedyny raz i natychmiast żąda, żeby teraz to ona się nim zajęła. Początkowo mu odmawia, ale w końcu zawsze się poddaje. Odgrywali przede mną tę scenę dzień w dzień.

Słowo o mleku

Jeśli przyjrzeć się tempu wzrostu, temperamentowi, pomysłowości czy uczuciowości poszczególnych cielaków i krów, to okaże się, że różnią się one między sobą w takim samym stopniu, jak to ma miejsce u ludzi. Jednym z ciekawszych czynników, jakie mogą mieć wpływ na tempo wzrostu cielaka, jest smak mleka od różnych krów. Oczywiście może on nie mieć żadnego znaczenia, niemniej jest to interesujący temat i warto go omówić.

Ponieważ my, ludzie, jesteśmy samowystarczalni pod względem jedzenia, prawdopodobnie czujemy smak mleka wyraźniej niż cielęta. One zawsze dostają to samo, matczyne mleko, podczas gdy my pijemy mleko od wielu różnych krów. Wiadomo, że mleko pochodzące od danej rasy ma charakterystyczny smak i jakość. Zmiana w diecie krowy również może wpłynąć na smak produkowanego przez nią mleka, ale istnieją też różnice wrodzone. Z naszego doświadczenia wynika, że nawet krowy w tym samym wieku i tej samej rasy potrafią wyprodukować mleko o całkowicie odmiennym smaku i różnej zawartości tłuszczu. W naszym domu dzbanki z mlekiem od różnych krów oznaczamy ich imionami i każde z nas ma swoje preferencje.

Zabawy cieląt

Z opowiadanych tu historii wyłaniają się wyraźne różnice w krowich temperamentach, ale jak dotąd nie mówiłam jeszcze o zachowaniu bardzo młodych cieląt. Mersey II, długo wyczekiwana córka Mersey, ostatniej córki Meuse (jednej z identycznych bliźniaczek urodzonych w 1969 roku), była absolutnie niedościgniona w dziedzinie wymyślania zabaw i gier. Miętus, Dorothy i Foczka urodzili się w grudniu 1994 roku i mała Mersey II dołączyła do ich paczki dopiero 22 lutego 1995 roku. Wszyscy troje byli niezmordowanymi poszukiwaczami rozrywek i nawet w mroźne dni stawali

na głowie, skakali i zaczepiali swoje nudne, bez przerwy wypasające się matki, a wszystko to działo się tuż za naszym oknem kuchennym, na nowo ogrodzonym wybiegu. Dzień w dzień obiecywaliśmy sobie, że kupimy kamerę, ale czas mijał, a cielaki stopniowo poważniały i zaczęły spędzać więcej czasu na jedzeniu niż zabawach. I wtedy zjawiała się Mersey. Jej drobniutka, matowozłota córka z wiecznie zadartą głową, poruszająca się skocznym krokiem, postanowiła pokazać wszystkim, co to znaczy szybko biegać. Jej sprawność i entuzjazm zaraziły całą trójkę, która teraz, z nową energią, wróciła do wymyślania nowych, zadziwiających gier.

Starsze cielęta, które potrzebują więcej jeść i robią to za dnia, uczą się, że najlepszy czas na zabawę jest o zmierzchu. Czasem w ich grach uczestniczą „nastolatki”, a niekiedy dołączają do nich nawet „starsze panie”. Wieczorami cielęta potrafią bawić się w berka z lisem, uganiać się za bażantami i organizować wyścigi „do twojej mamy i z powrotem”, których zwycięzca prowadzi rundę honorową dookoła pastwiska. Przez lata widzieliśmy już wielu przywódców młodzieżowych grup: Lochinvara, Isadorę, Carpeta, Anne, Woolly’ego Bully’ego i Jacka. Było też sporo takich, którzy tylko ich naśladowali.

Nowie i pełnie wyznaczają pędzące miesiące i Złota Belinda właśnie urodziła Małą Czarną Belindę, ale jak na razie nie odezwała się do niej ani słowem. Kolejny raz my, ludzie, mamy obowiązek i przyjemność zapewniania małej krówce całej miłości i pielęgnacji, podczas gdy jej matka produkuje mleko. Mała Czarna Belinda pije je ukradkiem, kiedy jej mama zajęta jest jedzeniem. Czasem, kiedy widzi, że idziemy do niej ze szczotkami w rękach, z podniecenia zaczyna podskakiwać na wszystkich czterech nogach. Tak się w tym zapomina, że mija nas w biegu i dopiero po chwili przypomina sobie, co ją tak ucieszyło – wówczas szybko zawraca.

Kury też lubią zabawy i jeszcze do nich wrócę, ale najpierw muszę

spróbować opisać Amelię.

Amelia

Amelia była wyjątkowo uroczym cielakiem, bardziej ufnym i rozumiejącym, niż można by się spodziewać, znając jej niezbyt miłą matkę. Od pierwszego dnia wszystko robiła powoli. Sprawiała wrażenie bardziej refleksyjnej od innych. Kiedy otwieraliśmy bramę i wszyscy jej rówieśnicy biegli radośnie ku nowej przygodzie, Amelia się nie śpieszyła i wychodziła, kiedy miała na to ochotę – często dopiero wtedy, gdy inni byli już poza zasięgiem wzroku. Jak się później okazało, wszystko skrupulatnie notowała w pamięci.

Mogłabym zapełnić tysiąc stron szczegółami z jej życia, a i tak nie stworzyłabym pełnego portretu Amelii. Musiała stawić czoło zmienności losu, a kiedy urodziła martwe bliźnięta, jej żałoba była głębsza niż u jakiegokolwiek innej krowy, jaką znaleźliśmy. Trzeba ją było codziennie doić i w ciągu roku po stracie potomstwa nawiązała bardzo bliską przyjaźń z moim bratem, który wychodził ze skóry, żeby tylko ją pocieszyć i zająć czymś jej uwagę. Zawsze była kochającą istotą i o ile ja okazuję jej miłość wyłącznie wtedy, kiedy wygląda, jakby tego potrzebowała, to mój brat Richard obdarza ją uczuciem bezwarunkowo.

Po tym, jak skończył pomagać Nell podczas porodu (urodziła pięknego hereforda), Richard poszedł prosto do jej poprzedniego dziecka, Nelsona, żeby zrekompensować mu to, że będzie miał mniejszy kontakt z matką, która od teraz będzie musiała skupić swoją uwagę na noworodku. Moja matka obserwowała ich rozmowę i zauważyła, że Amelia też się im przygląda; powiedziała nawet Richardowi, że według niej krowa jest zazdrosna. Richard od razu poszedł przeprosić Amelię, ale gdy tylko się do niej zbliżył, uniosła wysoko głowę, odwróciła się i odeszła w drugą stronę. Richard ruszył za nią,

objął ją za szyję i długo tulił do siebie, po czym wyciągnął dłoń w geście pojednania. Amelia przez chwilę się wahała, ale w końcu polizała jego rękę i powiedziała z lekką obrazą, że mu wybacza.

Po urodzeniu martwych bliźniąt produkowała tyle niepotrzebnego mleka, że musieliśmy ją doić dla jej dobra. W większość dni Richarda nie było w gospodarstwie. Amelia bardzo lubiła, kiedy co wieczór prowadziłam ją w pobliże naszego domu. Gdy docierałyśmy do szczytu wzgórza, z którego widać było całą farmę, zatrzymywała się i stała w miejscu, dopóki Richard nie wrócił. Skubała trawę, mówiła coś do swojej koleżanki, ale jednym okiem patrzyła na drogę i wypatrywała jego małego czerwonego auta. Kiedy pojawiał się na naszej drodze, Amelia schodziła ze wzgórza, stawiała na środku podwórka i czekała na swojego przyjaciela. Nigdy nie zdarzyło jej się pomylić jego samochodu z innym.

Amelia

Cierpliwa, kochająca Amelia.

*Dumna, silna, bystra i mądra,
zdolna, ale nie zarozumiała.*

*Zawsze gotowa kochać swoje dzieci i nas,
kiedy na to zasługujemy.*

*Uszlachetniona bólem po stracie,
szybko na powrót wdzięczna i szczęśliwa.*

*Proste plecy, szeroki pysk i czoło,
jasne oczy, silne nogi, idealne wymię,
zachwyciłabyś sędziów na pokazach.*

*Umiesz dawać i przyjmować miłość,
przyjaźnić się, żartować, obrażać,
rozwiązywać problemy, mieć parcie na szkło,
uczyć swoje małe, czasem aż za dobrze.*

*Znasz się na ludziach, umiesz ich rozróżniać,
z głupimi ci nie po drodze.
Jesteś wytrwała, odważna, cierpliwa,
ale umiesz poprosić nas o pomoc.
Nie ma w tobie pychy, jesteś częścią stada. Jedną z wielu,
a zarazem widoczną dla nas z oddali.
Zapraszasz nas do swojego świata.*

Kury lubią się bawić

Kury lubią zabawy. Tak naprawdę, oprócz jedzenia, którym też zajmują się bez przerwy, tylko harce im w głowie. Wszystkim się cieszą, podśpiewują sobie pod dziobem i ogólnie korzystają z życia. Każdego ranka, kiedy tylko wyjdą na dwór, wyruszają na poszukiwanie przygód. Może to być okrażanie, z dziobem przy ziemi, wszystkich obór i bel siana, a nawet wdrapywanie się na górę sterty kiszonki do samokarmienia (który to termin interpretują dosłownie). Potem potrafią do późnego popołudnia przesiadywać na dachach budynków tuż za oknem mojej kuchni, opalać się na słońcu albo kąpać w piachu pod którymś z krzaków. Natomiast nie przepadają za deszczem.

Zimą nasz land rover załadowany jest sianem, a wtedy robią, co mogą, żeby załapać się na przejażdżkę. Wiedzą, że im tego nie wolno, więc z nonszalancją dziobią ziemię przy kołach, czekając, aż nadarzy się okazja (na przykład odwrócimy się do nich plecami). Na ogół któreś udaje się wskoczyć do kabiny, ale pewnego razu, kiedy silnik był włączony i nie usłyszeliśmy tryumfalnego śpiewu, jednej udało się ukryć w sianie. Odkryliśmy ją, ale dopiero gdy rozładowywaliśmy siano na polu, tysiąc kilometrów od domu. Wypadła z auta razem z belą siana i musiała walczyć z podmuchami wiatru, który rzucał nią we wszystkie strony.

Zaskoczone krowy utworzyły wokół niej krąg, ale ona w ogóle się ich nie przestraszyła. Podniosłam ją i posadziłam na przednim fotelu, gdzie siedziała z podniesioną głową i rozglądała się dumnie jak królowa w karocy. Kiedy wróciłam do rozrzucania siana, znalazłam jajko.

Kury lubią towarzystwo ludzi, a nasze kury wprost nie cierpią, kiedy nie mogą wziąć udziału w interesującej je rozmowie. Któregoś dnia odwiedziła nas grupka francuskich studentów rolnictwa. Zebrali się w kręgu, żeby posłuchać, jak mówimy o płodozmianie. Kury poczuły się wykluczone i precyzyjnie się na sam przód grupy. Wyciągały szyje, żeby być bardziej widoczne, i próbowały wziąć udział w rozmowie w jedyny znany sobie sposób: głośno śpiewając.

O innej stronie kur

Pewnego dnia znalazłam staruszkę Szarą na ziemi, leżącą bez ruchu. Lis zjadł jej dwie przyjaciółki i poważnie uszkodził jej nogi. Zabandażowałam je, opatrzywszy uprzednio rany. Przez trzy dni nie tknęła nawet najbardziej kuszącego pokarmu i tylko co jakiś czas popijała trochę wody. Czwartego ranka zjadła kawałek chleba i od tego momentu była już nie do powstrzymania. Pochłaniała wszystkie delikatesy, jakie tylko przyszły nam do głowy: maliny ze śmietaną, masło, ser, pszenicę, jęczmień, mleko, chleb ze smalcem (jej ulubiona potrawa), gotowaną wołowinę, rodzynki i tak dalej. Przez te cztery dni i, jak się potem okazało, przez ponad rok od incydentu z lisem dwie pozostałe nasze kury okazywały Szarej taką ilość najszczerzej miłości i oddania, że nie mogliśmy się temu nadziwić.

Zostały jej wiernymi ochroniarzami. Kiedy podawaliśmy im karmę, czekały, aż Szara zje tyle, ile było jej potrzeba, i dopiero wtedy same jadły. Obydwie chodziły po podwórku i dziobały jak zawsze, ale co jakiś czas

któraś podbiegała do Szarej, żeby się upewnić, czy wszystko z nią w porządku. Pocieszały ją, pocierając dzióbkami jej dziób. Nie przeszkadzało jej, że zajmowały się sobą, ale robiła się niespokojna, ilekroć znikwały z jej pola widzenia. Dwie młode kury, siostry w tym samym wieku, dużo młodsze od „inwalidki”, nie okazywały jej szczególnej życzliwości przed jej traumatycznym przeżyciem. Była wówczas prawdziwą szarą eminencją i być może trzymała je na dystans. Ale kiedy po wypadku nie była w stanie się sobą zająć, jej młodsze towarzyszkę całkowicie zmieniły swój stosunek do niej.

Przez cały ten okres Szara się nie ruszała. Za dnia siedziała w ogrodzie, na gnieździe z siana, a nocą w innym gnieździe w kurniku. Nauczyła się prosić nas, żebyśmy ją gdzieś przenieśli – wyciągała szyję, pokazywała głowę miejsce, w które oddaliły się jej przyjaciółki, i patrząc na nas, przemawiała dość nietypowym, bardzo charakterystycznym głosem.

Kiedy nadszedł dzień zdjęcia bandaża, przeżyłam szok: stopa Szarej została w mojej dłoni. Ale ona poczuła tylko ulgę. Sterylne warunki wewnątrz opatrunku sprawiły, że noga całkowicie się zagoiła. Gdy posadziłam Szarą na jej dziennym posłaniu, szybko z niego zeszła. No dobrze, przesadzam. Mocno kuśtykała, ale była szczęśliwa, że wreszcie pozbyła się balastu. Skrzydłami pomagała sobie złapać równowagę i swobodnie się poruszała, choć nadal potrzebowała asysty przy wchodzeniu po schodach czy przechodzeniu na noc na drugą stronę drogi do kurnika. Po kilku tygodniach jej kikut na tyle stwardniał, że mogła już sama iść po jej betonowej nawierzchni. Czasem przeskakiwała na drugą stronę szybciej, niż byliśmy w stanie się zorientować, a innym razem czekała na miękkiej ziemi, aż któreś z nas ją zanieśie. Wiedziała, komu może zaufać.

Po wielu latach hodowania kur nareszcie mieliśmy okazję towarzyszyć im w ich codziennym życiu. Ze wszystkich zwierząt hodowlanych kury, jeśli

tylko zapewni się im różnorodny pokarm i dużo czystej wody, są najbardziej niezależne, i bardzo im to odpowiada. Ale te trzy nauczyły się polegać na naszej pomocy, z korzyścią dla siebie i ku naszemu ogromnemu zadowoleniu.



Wypadek z lisem wydarzył się wiosną, więc kiedy Szara wylizała się z ran, miała przed sobą całe lato. Nie lubiła nawet krótkich przerw w zabawie, ale ilekroć padał deszcz, chowała się pod hamakiem, a jeśli opady były silne, zabieraliśmy ją do domu. Jej przyjaciółki wiedziały, gdzie była, i dalej zajmowały się swoimi sprawami, ale kiedy nadchodził wieczór, absolutnie nie chciały przechodzić przez drogę i iść spać bez niej.

Szara rychło pogodziła się z tym, że deszcz oznacza uwięzienie. Chyba nawet podobały jej się wygody naszego domu. Teraz już jadła i piła za dwie i jeśli nie liczyć głośnego dziobania pszenicy z pojemnika, nie wydawała żadnych dźwięków, dopóki nie stwierdziła, że czas wracać do siebie. Jeśli tylko któreś z nas było blisko, wystarczyło, że podchodziła w stronę drzwi, a my rozumieliśmy, co mamy dla niej zrobić. Jeżeli jednak nie było nas w pobliżu, musiała stosować inną taktykę, by zwrócić na siebie uwagę.

Najpierw próbowała zwykłej mowy (śpiewanie całkiem zarzuciła). Kiedy to nic nie dawało, podchodziła do szuflady z metalowymi rondlami i zaczynała w nie walić dziobem, aż do skutku. Nigdy się nie zdarzyło, by po czymś takim musiała na nas czekać.

Szara czerpała radość ze wszystkiego. Z zapamiętaniem skubała trawę przed domem. Usuwała chwasty z rabaty różanej i ogólnie jej doglądała, chyba że akurat ucinając sobie w niej drzemkę. Jadła wszystko, co jej przyjaciółki wygrzebywały pazurami z ziemi. Nawet jeśli zapominały jej pomóc, i tak biła je na głowę w znajdowaniu pożywienia i szybkości dziobania, mimo że w przeciwieństwie do niej one nadal mogły biegać.

Przez dwadzieścia miesięcy Szara żyła pełnią życia, ale w końcu nadszedł dzień, którego się spodziewaliśmy. Zjadła skromne śniadanie, a w porze lunchu w ogóle nie zainteresowała się jedzeniem. Miała trudności z utrzymaniem równowagi, wreszcie zwiesiła głowę. Umarła, mając przy boku swoje dwie bliskie przyjaciółki i dwie nowsze koleżanki, które

kupiliśmy kilka miesięcy po zajściu z lisem.

Nigdy wcześniej nie zastanawialiśmy się, czy kury są zdolne do przeżywania żałoby. Odpowiedź brzmi: tak, są zdolne. Nie byliśmy pewni, czy dwie najbliższe przyjaciółki będą tęskniły za Szarą, tymczasem okazało się, że jej odejście wywarło wpływ na całą czwórkę.

Latem wszystkie kury sprawiały wrażenie szczęśliwych, ale teraz wiemy, że ograniczały swoją aktywność, żeby dostosować się do Szarej. Zmieniły się niemalże w kanapowce.

Przez kilka pierwszych dni po jej śmierci zbierały się co noc w „jej” rogu kurnika. Po jakimś tygodniu postanowiły trochę posprzątać i ku naszemu zdziwieniu odsunęły gniazdo Szarej, żeby zaprowadzić pod nim prawdziwy porządek. Przez jakiś czas wszystkie cztery były przygaszone i unikały kontaktu z ludźmi. Dużo mniej też jadły.

Stopniowo wracały do aktywnego życia i za dnia były energiczne jak dawniej. Często natykaliśmy się na nie w nietypowych miejscach, na przykład nad stawem albo na podwórku z krowami czy za chlewem. Każdego dnia wypuszczały się dalej w pole, choć zdawało nam się, że ogród w zupełności im wystarcza. Po trzech tygodniach zaczęły znosić jaja, znów szukały kontaktu z ludźmi i mocno przesunęły porę kładzenia się spać, do późnego wieczora rozmawiając, jedząc i bawiąc się w swoim kurniku. Ich dzień trwał co najmniej cztery godziny dłużej niż wtedy, gdy Szara była częścią ich stadka.

Jeszcze o Amelii

Amelia jest ważnym zwierzęciem, które zasługuje na jeszcze jedną wzmiankę.

To ona, gdy była jeszcze bardzo młoda, przekonała pewnego hardego

rolnika, by przełamał się i polubił towarzystwo krów, czym sprawiła mu ogromną radość.

Nauczono go, że do krów należy przemawiać szorstko, popędzać je i cały czas przypominać, kto jest ich panem. Wmówiono mu, że trzeba się ich bać, ale nigdy nie wolno tego po sobie pokazać. Zatrudnił się u nas w wieku sześćdziesięciu dwóch lat i miał nam pomóc przy jednym konkretnym zadaniu, ale potem zapytał, czy nie znaleźlibyśmy dla niego więcej pracy. Był zdolnym ogrodnikiem, więc praca na niepełny etat z czasem przerodziła się w wieloletnią, korzystną dla obu stron współpracę.

Któregoś dnia grupa krów z cielakami (rocznik '89) wychodziła rano z obory w dość niezorganizowanym szyku. Nasz pracownik natychmiast przybiegł, żeby „pomóc”, ale robił to w pośpieszny, nerwowy i dominujący sposób. Powiedziałam mu, że Amelia może sama trafić na pastwisko i że na ogół lubi zbadać po drodze absolutnie wszystko: kamienie, krzaki, króliki, ludzi, samochody, krowy i kwiaty. Jego początkowe zdziwienie stopniowo zaczęło słabnąć i kiedy dodałam, że może ją pogłaskać, jeśli chce, nie zrobił tego od razu, ale nieco później do niej wrócił. Miała tylko dwa miesiące, ale ich przyjaźń już wtedy zakiełkowała i w ciągu kilku lat ów mężczyzna dostrzegł w naszym stadzie krów niezwykle bogactwo i różnorodność charakterów.

Aby być w zgodzie z dokładnością historyczną, muszę przytoczyć jeszcze jeden epizod z udziałem Amelii.

Pewnego zimowego dnia, kiedy Amelia miała jedenaście lat, znalazłam ją stojącą samotnie przy szesnastu dużych okrągłych belach siana. Najprawdopodobniej ktoś zostawił otwartą bramę, więc nie mogłam jej oskarżyć o włamanie, ale i tak musiałam ją stamtąd zabrać, zanim zgniotłaby je wszystkie (zgniatanie bel siana to jedna z ulubionych zabaw każdej krowy). Nie miała ochoty się ruszyć, być może dlatego, że dopiero co tam

przyszła. Tak czy owak, na chwilę opuściła ją jej naturalna skłonność do odpowiadania posłuszeństwem na serdecznie wyrażoną prośbę i przez blisko minutę obserwowałam, jak zmagają się z dylematem. Jestem prawie pewna, że na serio rozważała usunięcie przeszkody w zabawie, czyli mojej osoby, poprzez przyciśnięcie mnie swoją głową do ściany i przemówienie mi w ten sposób do rozumu. Amelia jest bardzo dużą i silną krową. Obie obstawałyśmy twardo przy swoim i patrzyłyśmy sobie prosto w oczy. Nie miałam drogi ucieczki i zaczęłam się bać. Warknęłam na nią, żeby mnie słuchała, i mogłabym przysiąc, że widzę koła zębate obracające się w jej głowie. Rozważyła możliwe rozwiązania i postanowiła, że jednak nie zrobi mi krzywdy. Po chwili z jej twarzy zniknął gniewny wyraz, Amelia odwróciła się w stronę bramy i wyszła z obory. Natychmiast dałam jej dużą porcję wymarzonego siana i Amelia znów była starą, dobrą, kochaną Amelią.

Parę uwag o ptakach

Wszystkie ptaki są szczęśliwymi, bystrymi istotami. Z mojego doświadczenia wynika, że wszystkie uczą się na błędach i większość wydaje się nigdy ich nie popełniać. Ptaki zawsze wiedzą, jaka będzie pogoda, i to dużo wcześniej niż inni, zwłaszcza Instytut Meteorologii.

Przez lata mieliśmy okazję z bliska obserwować ich proces uczenia się – a może jest to część ewolucyjnej adaptacji? Zimą napełniamy małe plastikowe kubki okruszkami chleba i roztopionym tłuszczem, które następnie, gdy ich zawartość zastygnie, odwracamy i zawieszamy na cienkich patykach wbitych w ziemię za oknem.

Modraszki już w kilka minut uczą się, jak z nich korzystać, i bez trudu wieszają się na nich głowami w dół. Wieści szybko rozchodzą się wśród reszty sikor i niedługo potem nasz karmnik odwiedza sikory ubogie,

czarnogłówki, sosnowki i bogatki. Wszystkie one w mgnieniu oka opracowują skuteczne metody wydłubywania okruszków. Za to zięby w pierwszej kolejności reagują złością. Krzyczą na kubeczki, jakby chciały od nich usłyszeć rozwiązanie problemu. Po jakimś czasie atakują je z ukosa, startując z najbliższej gałęzi irgi, i jeśli mają szczęście, udaje im się odlecieć z odrobiną pokarmu w dziobie. Parę tygodni później postanawiają naśladować kolibry i zbliżają się do kubków z wyciągniętymi dziobami, wymachując rozpaczliwie skrzydłami. Z czasem doprowadzają tę technikę do perfekcji i w ten sposób kolejny gatunek staje się bywalcem naszego karmnika.

Następny w kolejce jest rudzik i jemu też nasze kubeczki zabijają ćwieka. Raz za razem próbuje utrzymać się na krawędzi dość długo, żeby skubnąć okruszków, ale mu się nie udaje. Oczywiście wystawiamy ptakom całe mnóstwo innego pokarmu i rudzik chętnie z niego korzysta, ale nie przestaje przy tym głowić się nad problemem kubków, które wystawiliśmy głównie po to, żeby przynajmniej część jedzenia ocalała przed srokami, wronami i sójkami. Najlepszym rozwiązaniem, na jakie wpadł rudzik, było zwiniecie się w małą kulkę na ziemi tuż pod kubkiem i pionowy skok, po którym udawało mu się chwycić małą ilość jedzenia i oddać ją od razu swojemu mniej rozgarniętemu koledze czekającemu na dole. Te spazmatyczne podskoki powtarzały się sporadycznie przez kilka tygodni, ale w końcu ustały. Dopiero w maju, kiedy wrony obsesyjnie karmiły swoje małe, jedna z nich wpadła na pomysł, że można wdrapać się po patyku na górę i opróżnić kubek. Mniej więcej w tym samym czasie naszym karmnikiem zainteresował się lis, który zabrał wszystko za jednym razem.

Samoleczenie

Pozwolę sobie teraz nieco zmodyfikować moje wcześniejsze, nieco pochopne stwierdzenie, że homeopatia to „odrębny rozdział naszego życia na farmie”. Prawdą jest, że staramy się zachować otwarte głowy w większości kwestii i rzadko kiedy widzimy świat wyłącznie w czerni i bieli, niemniej homeopatia nie odgrywała dotąd znaczącej roli w naszej pracy.

Trzymanie się jednej metody leczenia zwierząt nie wydaje mi się słusznym podejściem, bez względu na to, czy będzie to konwencjonalna terapia lekami, homeopatia, zioła, akupunktura czy inne alternatywne sposoby. Na naszej farmie staramy się pielęgnować zdrowie i dobrostan zwierząt, zapewniając im odpowiednie warunki życia i dietę, ale jeśli dzieje się coś nieprzewidzianego, jesteśmy otwarci na różne rozwiązania. Jeśli jest to konieczne, nie wahamy się wezwać weterynarza i podać leków zapobiegających cierpieniu.

Ciekawe zagadnienie samoleczenia w królestwie zwierząt było do niedawna traktowane sceptycznie przez wielu naukowców, ale przytłaczająca ilość dowodów zebranych dzięki obserwacji zwierząt nie pozwala dłużej ignorować faktu, że ten zaskakujący fenomen faktycznie istnieje i jest dość częsty. Jako że nasze zwierzęta mają całkowitą swobodę poruszania się po farmie, wynajdują dla siebie najróżniejsze gatunki roślin.

Upodobania smakowe i ciekawość bez wątpienia odgrywają ważną rolę w wyborze diety, ale nie mam wątpliwości, że gdy okoliczności tego wymagają, nasze zwierzęta szukają roślin, które pomogą im wyjść z choroby albo wyleczyć kontuzję.

Wspomniałam już, że krowy i owce jedzą czasem w dużych ilościach liście, gałązki i korę wierzby i jesionu, a także pokrzywę i oset. Dla krów nie ma nic lepszego od przewróconego drzewa. Nasze kury czasami potrafią wprost pożerać liście naparstnicy i łopianu, by potem długo nawet ich nie tykać. Ja sama poradziłam sobie z problemami ze słuchem, pijąc herbatę ze

światlika łąkowego, i choć przez trzy tygodnie nie zauważyłam poprawy, uważam, że jednak warto było uzbroić się w cierpliwość. Wprawdzie czasem trudno jest się oprzeć pokusie sięgnięcia po natychmiastową ulgę, jaką zapewniają nowoczesne lekarstwa, mam jednak nadzieję, że skuteczniejsza okaże się ta powolna metoda, w której człowiek daje swojemu ciału szansę na to, by samo się wyleczyło.

Mój brat Richard napisał kiedyś na łamach czasopisma „Country Life”:

Każdy lekarz o otwartym umyśle dostrzeże błąd współczesnej weterynarii polegający na ignorowaniu środowiskowych przyczyn chorób. Często mają one związek z tym lub innym systemem hodowli i presją finansową, która za nim stoi. Weterynarze wiedzą, jak mało sensu ma zalecanie świeżego powietrza i ruchu zwierzętom trzymanym na farmach przypominających fabryki. Ale tym, co szczególnie utrudnia większości z nich zaakceptowanie homeopatii, jest przekonanie, że większe rozcieńczenie substancji czynnej zwiększa siłę oddziaływania lekarstwa.

Richard pisał ten artykuł z punktu widzenia sceptyka w temacie homeopatii, a ponieważ naszą farmę prowadzimy jako wspólnicy, musimy dojść do zgody, zanim wprowadzimy w życie nowe pomysły. Ale cały czas się uczymy i byliśmy już świadkami naprawdę niewiarygodnych przypadków wyzdrowienia, jak również kilku niewypałów.

W homeopatii podobają nam się głównie zasady stawiania diagnozy. Mam na myśli chociażby pogląd, że na to samo schorzenie łagodnie usposobiona krowa powinna dostać inny specyfik niż osobnik o ostrym temperamencie. Na tym przykładzie widać wyraźnie, że według homeopatów każde zwierzę powinno być diagnozowane i leczone jako odrębna, wyjątkowa jednostka. Bardzo nas martwi masowe aplikowanie lekarstw zarówno zwierzętom, jak i ludziom. Szczepionki są w powszechnym użyciu i mało kogo obchodzą

indywidualne uwarunkowania, stan układu odpornościowego tego czy innego pacjenta czy też jego naturalne mechanizmy obronne.

Podobne założenia leżą u podstaw ziołolecznictwa i innych alternatywnych metod terapeutycznych, z którymi miałam kontakt, jakkolwiek nikły. Nadużywanie współczesnych leków, celowe czy napędzane głupotą, ma niepokojące skutki i jestem absolutnie pewna, że przemysłowa hodowla zwierząt nie byłaby możliwa bez całego tego arsenału substancji utrzymujących przy życiu biedne stworzenia, których egzystencja w tego typu systemach jest godna pożałowania.

Nasze zwierzęta robią wszystko, żeby znaleźć to, co ich zdaniem jest im potrzebne. Są w stanie nawet oddzielić się od stada i wyruszyć na samotne poszukiwania. Bywa, że mijają po drodze obfitujące w wodę akweny, by dotrzeć do trudniej dostępnego źródła, które może zawierać cenne minerały lub w którym woda będzie miała inną temperaturę.

Jeśli tylko mają taką możliwość, wszystkie zwierzęta hodowlane są niezwykle wybredne w kwestii wody pitnej. Niektóre krowy lubią pić tylko najczystsza wodę i gaszą pragnienie, podkładając głowę pod wodospad albo rynnę, podczas gdy inne wolą sączyć „zieloną śmietankę ze stojących kałuż ¹⁰”, jak biedaczysko Tomek z *Króla Leara* Szekspira. Potrafią powstrzymać się od picia nawet przez dwanaście godzin, jeśli nie mogą znaleźć ulubionego źródła.

Mamy szczęście, bo przez naszą farmę przepływa strumyk, którego woda zawiera tak dużo wapnia, że na zanurzonych w strumieniu gałązkach i żołądziach z czasem tworzy się gruba biała pokrywa, przez którą tracą swój pierwotny wygląd i przypominają kawałki kości. Są tu też stawy, rozlewiska i jezioro, więc nawet najbardziej wybredne zwierzęta mają z czego wybierać.

Przez wiele lat namawialiśmy wszystkich naszych gości, żeby spróbowali mleka od naszych krów i naszej wody. Ich reakcje bywały zaskakujące.

Sporo ludzi przyznawało się do alergii na mleko, ale po krótkim objaśnieniu, jak je produkujemy, niemal wszyscy chcieli go spróbować, a spośród tych, którzy tego nie zrobili, kilka osób poprosiło o próbkę na wynos. Z czasem zyskaliśmy grono znajomych, którzy pili mleko z naszej farmy, a na to kupowane w sklepie dalej byli uczuleni. Na podstawie naszych obserwacji uważamy, że istnieje całkiem wysokie prawdopodobieństwo, iż alergię spożywcze spowodowane są nie tyle konkretnymi rodzajami jedzenia, ile sposobem jego produkcji i tym, jak traktowane były rośliny albo zwierzęta, od których to jedzenie pochodzi.

Nie da się uciec od tej prostej prawdy: odpowiednie pożywienie to początek i koniec zdrowego życia. Intuicyjnie wiemy to od bardzo dawna. Hipokrates mawiał ponoć: „Zostaw leki u aptekarza, jeśli możesz uleczyć pacjenta jedzeniem”. W książce *Mrs Beeton's Book of Household Management* (Pani Beeton księga prowadzenia domostwa), wydanej pierwszy raz w 1861 roku, czytamy: „Bacząc nieco bardziej na dietę, gospodyni oszczędzi sporo czasu na doglądaniu chorego i mnóstwo pieniędzy na lekarzy”. Całkiem niedawno Cindy Engel napisała w swej książce *Wild Health* (Dziki zdrowie), że „ludzkie zdrowie zależne jest bezpośrednio od jakości spożywanego jedzenia”, w innym miejscu dodając, iż „za tanią żywność płacimy naszym zdrowiem”.

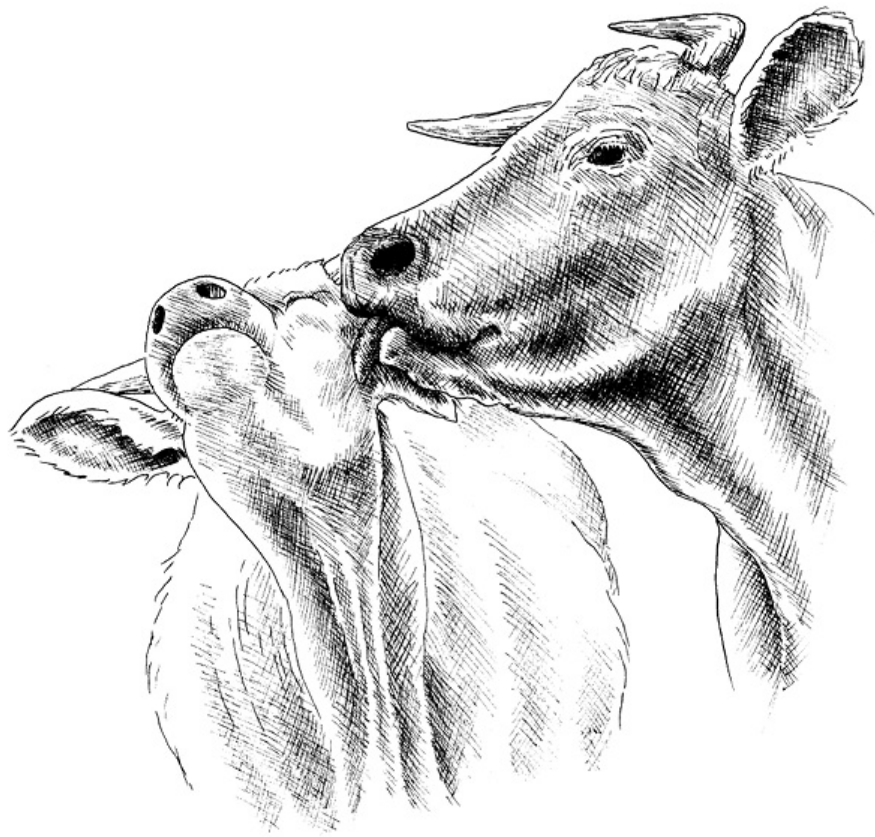
Jednak gdzieś po drodze zapomnieliśmy albo zignorowaliśmy tę wiedzę. Karmienie zwierząt jest, a przynajmniej powinno być, łatwe: małe kossy potrzebują robaków, lwy mięsa, owcom i krowom potrzeba trawy. Tymczasem nieznośna presja na obniżanie kosztów produkcji każe rolnikom przeczesywać międzynarodowe rynki w poszukiwaniu najtańszych i często najmniej odpowiednich pasz dla swoich zwierząt. Jeśli wlejemy niewłaściwe paliwo do samochodu, silnik nie będzie działał prawidłowo albo wręcz zgaśnie. Skutki karmienia ludzi i zwierząt złym jedzeniem nie zawsze są

widoczne od razu, ale niezależnie od tego, kiedy wystąpią, są poważne.

Ponad dwie trzecie wszystkich użytków rolnych w Wielkiej Brytanii stanowią łąki, na których nie da się uprawiać roślin. Jedynym sposobem na uzyskanie pożywienia z tych terenów jest wypasanie na nich krów i owiec. My nie możemy jeść trawy, tymczasem one są do tego stworzone. Obecnie na ogromnych obszarach sady się rośliny na karmę dla zwierząt, co jest najmniej ekologicznym sposobem ich wykorzystania. Łąki w naturalny sposób wiążą węgiel, który w wyniku orki jest uwalniany do atmosfery.

Hodowla bydła i owiec jest krytykowana za rzekomą emisję metanu. Nie jestem w tej sprawie ekspertką, ale mało kto mówi o tym, że kiedy łąki przeznacza się pod uprawę roślin, żywopłoty stopniowo zanikają, a często ich los dzielą też rosnące przy nich drzewa. Rola drzew i żywopłotów w zachowaniu środowiska naturalnego jest dobrze znana, ale są one też kluczowe w zatrzymywaniu węgla, co przynajmniej częściowo równoważy emisję metanu [11](#).

Konsumenci, którzy wybierają organiczne mięso z gospodarstw, w których zwierzęta karmi się wyłącznie trawą (choć trafniejsze byłoby określenie „karmienie pastwiskowe”), mają wpływ na sposób, w jaki hoduje się zwierzęta, a tym samym mogą poprawić własne zdrowie, a także zdrowie zwierząt hodowlanych. Mięso organiczne jest często droższe, ale gdyby wziąć pod uwagę wszystkie faktyczne koszty, okazałoby się tańsze, a do tego nasz naturalny krajobraz byłby należycie chroniony.



Mój brat Richard pracuje w Sustainable Food Trust, organizacji prowadzącej kampanię mającą na celu uświadomienie społeczeństwu istnienia wielu ukrytych kosztów, jakie ponosimy wszyscy wskutek prowadzenia przemysłowej produkcji żywności. Bardziej zrównoważona produkcja i rygorystyczne metody dbania o dobrostan zwierząt staną się powszechne tylko wtedy, gdy te koszty zostaną dostrzeżone i zrozumiane przez społeczeństwo i polityków.

Dorothy i jej córka, Mała Dorothy

Ogólna zasada mówi, że krowa nie powinna zostać matką przed ukończeniem dwudziestu czterech miesięcy. Ale kiedy Mała Dorothy urodziła swojego pierwszego cielaka, miała zaledwie piętnaście miesięcy i wciąż piła mleko matki.

Na długo zanim zrozumieliśmy, że Mała Dorothy jest w ciąży, jałówka stwierdziła, że potrzeba jej więcej pożywienia. Przyłapywaliśmy ją na jedzeniu siana w najdziwniejszych miejscach. Była drobna i szczupła, więc którąś noc spędziła, leżąc sobie wygodnie pod przyczepą; atrakcja polegała na tym, że siano leżało zarówno na przyczepie, jak i pod nią. Stała zaparkowana na drodze przecinającej naszą farmę, odgródzonej płotem od pól, na których przebywają nasze zwierzęta.

Wprawdzie cieszyło nas, że Mała Dorothy dobrze się bawi, ale nie mogliśmy zrozumieć, jak się tam dostała. Oskarżaliśmy się wzajemnie o zaniedbanie obowiązku zamknięcia bramy. Następnego dnia zapewniliśmy Małej Dorothy mnóstwo czasu dla siebie, dzięki czemu mogła swobodnie jeść tyle siana, ile tylko chciała, a przed nocą upewniliśmy się dwa razy, że wszystkie bramy są zamknięte. Nad ranem znów znaleźliśmy ją pod przyczepą.

Dopiero dwa tygodnie później nakryłam ją na gorącym uczynku.

Główna brama prowadząca z drogi na pole, na którym wypasała się rodzina Dorothy, była zabezpieczona pętlą zarzuconą na drewniany słup. Sądziłam, że to dobre rozwiązanie: brama mogła być stale otwarta albo zamknięta, w zależności od potrzeb.

Albo Mała Dorothy nauczyła się od nas, jak zdejmować sznur, albo sama się tego domyśliła. Używając nosa, cierpliwie przesuwiała pętlę na szczyt słupa i otwierała bramę. Ta zawsze się za nią zamykała, dzięki czemu żadne inne zwierzę nie wyszło poza ogrodzony teren.

Z tak cennej umiejętności nie zamierzała rezygnować i, jak się potem okazało, potrafiła wrócić do obory, żeby zobaczyć się ze swoją mamą, a na noc jeszcze raz iść do przyczepy.

W maju 2002 roku Mała Dorothy urodziła drobniutką czarną jałówkę. Przed porodem chodziliśmy jak na szpilkach, bo baliśmy się, że przyszła matka jest za mała i może sobie nie poradzić; rozważaliśmy nawet cesarskie cięcie. Tymczasem wszystko odbyło się gładko i cielak potrzebował tylko podstawowej opieki.

Następne tygodnie wszystkim nam otworzyły oczy.

Stara Dorothy była obecna przy porodzie; zresztą Mała Dorothy także towarzyszyła swojej matce, kiedy ta kilka dni wcześniej rodziła Luke'a. Stara Dorothy dawała córce widoczne wsparcie, udzielała jej porad i była najlepszą babcią, jaką można sobie wyobrazić.

Po pierwszych trzech, czterech dniach okazało się, że Mała Dorothy ma zbyt mało mleka, by zaspokoić apetyt swojej szybko rosnącej córki, więc zaczęliśmy dokarmiać cielaka mlekiem od innej krowy, której go nie brakowało.

Pastwiska obfitowały w trawę i obie Dorothy jadły całymi dniami, opychając się jak gąsienice, ale co jakiś czas trzeba było zaprowadzić małą

do domu i nakarmić mlekiem, które wcześniej rozlewaliśmy do butelek i ogrzewaliśmy. Mały cielak od razu zrozumiał i zaakceptował ten rozkład dnia, ale jego matce (wtedy jeszcze nastoletniej według ludzkiej miary) zupełnie nie chciało się chodzić tam i z powrotem. Zdecydowanie wolała skubać sobie trawę w towarzystwie koleżanek.

Po pierwsze, Mała Dorothy nigdzie nie ruszała się bez swojej mamy, więc Stara Dorothy i Luke też z nami szli. Nie braliśmy pod uwagę możliwości odprowadzania małej do domu bez jej matki, ale wkrótce okazało się, że Bardzo Mała Dorothy (nie dostała wtedy jeszcze oficjalnego imienia) uwielbia spacerować z babcią. Zatem Mała Dorothy żyła tak jak dawniej i choć kochała swoją córkę, to często o niej zapominała i zostawiała ją z babcią na coraz dłużej.

Jeszcze zanim Bardzo Mała Dorothy skończyła trzy tygodnie, pokazała, że jest niezwykle mądra jak na swój wiek. Wiedziała, po co przychodziła z pastwiska do domu, i z radością szła sama, zupełnie jak małe dziecko wysyłane do lokalnego sklepiku z portmonetką i listą zakupów. Noce spędzała w zagrodzie razem ze starszymi karmicielkami. Lubiała z nimi spać i jeść siano z karmnika jak dorosła, a nad ranem wychodziła na zewnątrz, żeby znaleźć swoją mamę i napić się od niej mleka na śniadanie.

Mała Dorothy stopniowo brała na siebie kolejne obowiązki macierzyńskie, a ponieważ zaczęła produkować więcej mleka, spędzała z córką coraz więcej czasu, aż do dnia, kiedy Bardzo Mała uprzejmie, acz stanowczo odmówiła karmienia z butelki.



Następnej zimy, w grudniu 2002 roku, kiedy całe stado karmione było codziennie sianem, matka z córką wprost rozkwitały w swojej specjalnej zagrodzie. Wydzieliliśmy im kawałek obory z niskim wejściem, odgrodzonym poziomą belką, i tylko obie Dorothy wiedziały, jak przez nie przejść. Stworzony dla nich boks stał się ich sekretnym miejscem spotkań, gdzie mogły dowolnie często spędzać ze sobą czas z dala od rywalizacji w stadzie, do którego jednak mogły w każdej chwili dołączyć.

Dwadzieścia rzeczy, które powinniście wiedzieć o krowach

1. Krowy kochają się nawzajem. Przynajmniej niektóre.
2. Krowy opiekują się dziećmi znajomych.
3. Krowy chowają urazy.
4. Krowy wymyślają zabawy.
5. Krowy umieją się obrazić.
6. Krowy potrafią porozumiewać się z ludźmi.
7. Krowy rozwiązują problemy.
8. Krowy zawiązują przyjaźnie na całe życie.
9. Krowy mają preferencje żywieniowe.
10. Krowy bywają nieprzewidywalne.
11. Krowy są czasem świetnymi kompanami.
12. Krowy bywają nudne.
13. Krowy potrafią być sprytne.
14. Krowy uwielbiają muzykę.
15. Krowy umieją być delikatne.
16. Krowy mogą być agresywne.
17. Krowy potrzebują czasem pomocy.
18. Krowy umieją wybaczać.
19. Krowy umieją się zaciętrzewić.

20. Krowy bywają mądre.

Dwadzieścia rzeczy, które powinniście wiedzieć o kurach

1. Kury śpiewają, kiedy są szczęśliwe, i lubią słuchać muzyki.
2. Kury rozdrabniają jedzenie dla swoich piskląt.
3. Kury nieustannie gdakają, żeby uspokoić swoje pisklęta.
4. Kury się przeciągają, wymachują skrzydłami, fruważą, biegają, kąpią się w kałużach i opalają się na słońcu.
5. Kury są czyściochami i regularnie czyszczą swoje piórka.
6. Kury kąpią się w kurzu i w ten sposób dbają o czystość.
7. Kury są ciekawskie.
8. Kury lubią zabawę i niezależnie od pogody zawsze znajdą sobie jakąś rozrywkę.
9. Kury są towarzyskie i potrafią mówić wieloma różnymi głosami.
10. Kury bardzo źle znoszą strach i szok.
11. Kury reagują pozytywnie na serdeczność i uwagę.
12. Kury uwielbiają zróżnicowaną dietę...
13. ...i czystą wodę...
14. ...i (najchętniej) dojrzałe owoce...
15. ...i mięso, surowe albo gotowane...
16. ...niektóre lubią kapustę...
17. ...a wszystkie przepadają za pszenicą i jęczmieniem, również pod

postacią ziaren, które już wykiełkowały.

18. Kury potrzebują żwirku w diecie.
19. Kury zawiązują przyjaźnie...
20. ...a czasem odtrącają nowych.

Dwadzieścia rzeczy, które powinniście wiedzieć o owcach

1. Owce potrafią być bardzo towarzyskie i niesamowicie współczujące.
2. Owce potrafią wykazać się niezwykłym sprytem.
3. Owce bywają bardzo tępe.
4. Owce zawsze biegną pod górę w przypadku zagrożenia.
5. Owce są zazwyczaj delikatne i nie przejawiają agresji.
6. Większość owiec ma długie wełniste ogony, dzięki którym jest im ciepło.
7. Owce mogą żywić się wyłącznie trawą, ale lubią też inne przysmaki, na przykład...
8. ...liście drzew i jabłka.
9. Gruby kożuch owcy chroni ją przed przegrzaniem i zmarznięciem.
10. Owce znoszą bardzo niskie temperatury lepiej niż krowy, świnie i kury.
11. Niektóre owce umieją się skupić i oglądać telewizję.
12. Niektóre owce bujają w obłokach i powodują wypadki.
13. Owce wolą pić wodę bieżącą niż stojącą.
14. Owce mają bardzo dobrą pamięć.
15. Za młodu owce bawią się prawie bez przerwy...
16. ...a w starszym wieku toczą ze sobą udawane pojedynki.

17. Owce potrafią mówić na wiele różnych sposobów.
18. Owce lubią świeże powietrze i wiatr.
19. Owce bywają zarozumiałe.
20. Owce potrafią okazywać uczucia... i oczywiście żaden baran nie lubi, jak się go robi w konia.

Dwadzieścia rzeczy, które powinniście wiedzieć o świniach

1. Świnie niczym się nie przejmują, lubią wygodę i dużo śpią.
2. Świnie lubią, jak się im posługuje.
3. Świnie lubią, jak się im pozwala przed oprosieniem zbudować gniazdo.
4. Świnie tarzają się w mokrym błocie...
5. ...a potem czekają, aż wyschnie i od nich odpadnie, bo wtedy są czyste.
6. Świnie bardzo dbają o higienę osobistą...
7. ...i zawsze sprzątaję miejsce, w którym mieszkają...
8. ...i są jedynymi zwierzętami hodowanymi, które budują toalety na dworze.
9. Świnie codziennie ścielą swoje łóżka.
10. Lochy ścielą łóżka swoich prosiąt.
11. Świnie potrzebują czystej wody do picia i dużo wody do mycia.
12. Kiedy świnie są szczęśliwe, ich ogonki są zakręcone...
13. ...a proste, jeśli jest im smutno.
14. Świnie nie cierpią przeciągów.
15. Świnie potrafią się spiec na słońcu.
16. Świnie są bardzo silne.

17. Świnie są zazwyczaj delikatne i potrafią się przyjaźnić, ale...
18. ...bywają niebezpieczne, jeśli poczują się zagrożone albo gdy są głodne.
19. Świnie potrzebują zróżnicowanej i ciekawej diety.
20. Świnie zawsze wybierają najlepsze, najbardziej organiczne jedzenie, jeśli tylko da się im taką możliwość.

Bibliografia

Anderson Luke, *Genetic Engineering, Food and Our Environment: A Brief Guide*, Green Books, Totnes (Devon) 1999.

Balfour Evelyn Barbara, *The Living Soil*, Faber & Faber, London 1943.

Carson Rachel, *Silent Spring*, Hamish Hamilton, London 1963.

Cato, *On Agriculture*, translated by Andrew Dalby, Prospect Books, London 1998. (Wyd. pol.: Cato Marcus Porcius, *O gospodarstwie wiejskim*, tłum. Stanisław Łoś, Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław 2006).

Cicero Marcus Tullius, *On Old Age; On Friendship; On Divination*, translated by W. A. Falconer, Harvard University Press, Cambridge (MA) 1923. (Wyd. pol.: Cyceron, *O wrózeniu; O przeznaczeniu; O starości; O przyjaźni; O powinnościach; O wynalezieniu retorycznym*, tłum. Erazm Rykaczewski, Biblioteka Kórnicka, Poznań 1879).

Engel Cindy, *Wild Health*, Weidenfeld and Nicolson, London 2002.

Prince of Wales Charles, Clover Charles, *Highgrove: Portrait of an Estate*, Chapmans Publishers, London 1993.

Harvey Graham, *The Killing of the Countryside*, Jonathan Cape, London 1997.

Harvey Graham, *The Forgiveness of Nature: The Story of Grass*, Jonathan Cape, London 2001.

Lampkin Nicolas, *Organic Farming*, Farming Press, 1990.

Mansfield Peter, Monro Jean, *Chemical Children*, Century Hutchinson, London 1987.

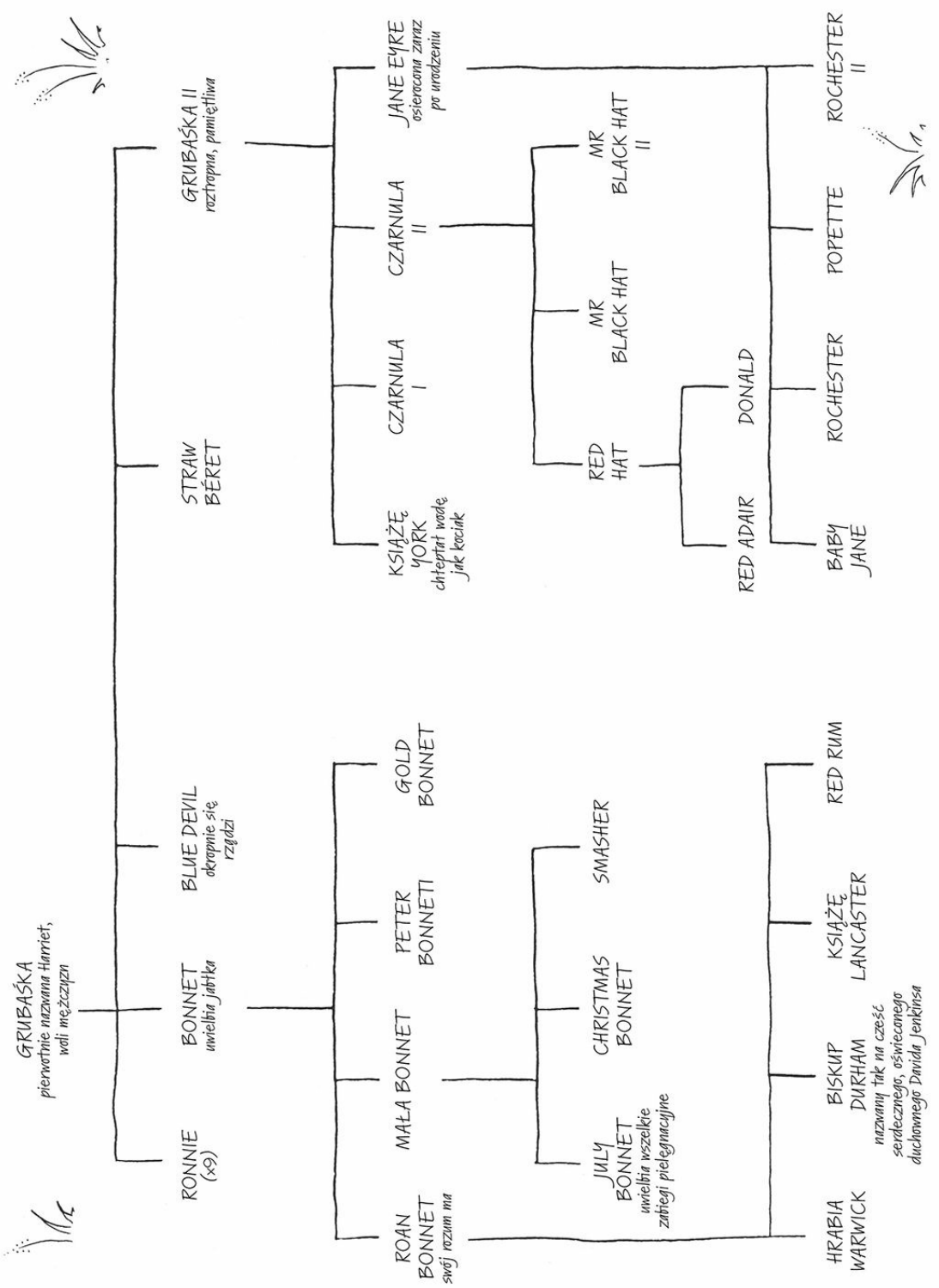
Schlosser Eric, *Fast Food Nation: What the All-American Meal is Doing to the World*, Penguin Books, London 2002. (Wyd. pol.: Schlosser Eric, *Kraina fast foodów: ciemna strona amerykańskich szybkich dań*, tłum. Lech Niedzielski, Muza, Warszawa 2005).

Wynne-Tyson Jon, *The Extended Circle: An Anthology of Humane Thought*, Cardinal, London 1990.

Young Rosamund, *Britain's Largest Nature Reserve*, Soil Association, Bristol 1991.

www.sustainablefoodtrust.org

www.pastureforlife.org



przypisy końcowe

1. William Szekspir, *Koriolan* [w:] *Tragedie*, tłum. Józef Paszkowski, Leon Ulrich, Warszawa 1973. [\[wróć\]](#)
2. Periodyk wydawany przez Stowarzyszenie Biodynamiczne w Wielkiej Brytanii (Biodynamic Association UK) [przyp. tłum.]. [\[wróć\]](#)
3. BSE – gąbczasta encefalopatia bydła, popularnie znana jako choroba szalonych krów [przyp. tłum.]. [\[wróć\]](#)
4. White Boys (ang.) – Biali Chłopcy [przyp. tłum.]. [\[wróć\]](#)
5. William Makepeace Thackeray, *Targowisko próżności*, tłum. Tadeusz Jan Dehnel, t. 1, Wrocław 1993. [\[wróć\]](#)
6. Birgitta Fält, *Differences in aggressiveness between brooded and non-brooded domestic chicks*, „Applied Animal Ethology” Sept. 1978, Vol. 4, No. 3, s. 211–221. [\[wróć\]](#)
7. [Wytyczne dotyczące rozważnego stosowania środków przeciwdrobnoustrojowych w medycynie weterynaryjnej](#), Dziennik Urzędowy Unii Europejskiej, 2015/C 299/04, 11 września 2015. [\[wróć\]](#)
8. William Wordsworth, *Opactwo w Tintern* [w:] *Angielscy „Poeci Jezior”*, tłum. Stanisław Kryński, Wrocław 1963. [\[wróć\]](#)
9. Aspiryna, czyli kwas acetylosalicylowy, jest otrzymywana z kwasu salicylowego, który występuje w korze wierzby (łac. *Salix*, stąd nazwa kwasu) [przyp. red.]. [\[wróć\]](#)
10. William Szekspir, *Król Lir. Tragedya w 5 aktach*, tłum. Józef Paszkowski, Warszawa 1913. [\[wróć\]](#)
11. Environmental Protection Agency, Climate Change Research Programme (CCRP) 2007–2013, Report Series No. 32. [\[wróć\]](#)



SEKRETNE ŻYCIE KRÓW

Rosamund Young